Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 75 gr.

DZIŚ W NUMERZE:

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

Rok VIII Warszawa, dn. 30.IX.1951 r. Nr. 39 (321)

PIOTR CHMURA

rys. Stefan Gierowski

WŚRÓD CHŁOPÓW na DOŻYNKACH w POZNANIU

DWA słowa wstępu. Czytaliśmy wszyscy przemówienie Prezydenta Bieruta. Gazety opisały przebieg dożynek w Poznaniu. Ilustracje w pismach odsłoniły widok na wspaniały obraz stu tysięcy chłopów, manifestujących w święcie urodzaju sojusz robotniczo-chłopski. Ja pragnę dołożyć skromny przyczynek: niektóre rozmowy chłopów, w spotkaniach orszakowych i biwakowych. Com posłyszał — zapisałem.

MICZURINOWIEC

Mijaliśmy się. Chłop był niski, w kamizeli i kapeluszu, który mu zasłaniał oczy i nos i byłbym go minął w poszukiwaniu sławnych przodowników, gdyby nie ten kapelusz. Stroiły go wokół kłosy pszeniczne. Ale jakie? Wyrastały krzaczasto, po kilka z jednego źdźbła. Postrzegli to inni chłopi. Zwarł się wokół nas tłum, posypały pytania: a dyć to radziecka pszenica! Byliście z wycieczką?

A chłop spod kapelusza: — **Nie byłem.**

— Ale to radziecka, na pewno stamtąd — upewniał jeden z oglądających. — Sam widziałem takie kłosy u naszego sołtysa. Byłże on dwa lata temu na Ukrainie. Kiedy przyjechał do domu, choć to nad wieczorem, ludzie się zwiedzieli i w te pędy. Ale żona: późno, mąż zmęczony, jutro wam opowie.

— Pewnie chcieli się naradzić?— wtrącił ktoś domyślnie.

— Jakbyście zgadli. Chłop się baby bał, siadł se na ławie, nie rozbiera się, ino czeka na kazanie. A ona mu, w krótkości mówiąc:

— Będziesz agitował, że tam dobrze?

— Będę.

— Będziesz zachęcał do spółdzielni?

— Będę.

Baba oniemiała, a potem w płacz.

— Juzuś kochany, a prosiłam cię, nie wierz ludziom.

— Toteż ja nie ludziom, a ziemi wierzę, ziemia nie kłamie. I wyciąga z walizki pszenicę krzaczastą.

Wśród śmiechu, który na chwilę przerwał to opowiadanie, posłyszeliśmy gniewny głos chłopa w kapeluszu.

— Głupi ten sołtys. Ludziom trzeba wierzyć, nie ziemi. Ziemia jest w naszych rękach. Na ten przykład, pszenica, którą widzicie na moim kapeluszu, pochodzi z mojego pola.

— A skądżeście?

— Z bielskiego powiatu.

— Przodownik?

— Nie, miczurinowiec. W mojej wsi Grodziec mamy kółko miczurinowców.

— A w naszej wsi — odezwał się inny chłop — nie ma jeszcze miczurinowców, ale ochota już wielka. Nie powiem o spółdzielni, bo w naszych Bielicach pół wsi jest w kolektywie, tam urodzaj był dużo większy, ale nawet w gromadzie, prawie każdy już w te żniwa rachował ziarna w kłosie. U mnie wypadało po 55 ziaren i sypnęło mi żyta 22 q z hektara.

— A w spółdzielni? — zainteresował się chłop w kapeluszu.

— Tam po 24 q żyta i 27 jęczmienia. A ile zebrali! 100 ton żyta i 250 jęczmienia.

— O widzicie, ziemia ta sama, a ludzie już inni.

— Jakże się nazywacie — zawołałem, widząc, że miczurinowiec zabiera się do odejścia.

— Grenia Karol.. małorolny!

— Widzieliście, co za sztuka z tego Grenia? — podjął na nowo pierwszy chłop. — To tak jak z naszym sołtysem — im lepszy robi się z niego agronom, tym większy polityk.

RATAJCZYK — MAZUR

Zdybałem samego Ratajczyka. Tego, który wezwał do współzawodnictwa Mazura, „mistrza urodzaju" i przewyższył go w produkcji buraka cukrowego. Mazur osiągnął w r. 1949 — 568 q z hektara, Ratajczyk w 50 roku — 627! Pojedynek ów był tym ciekawszy, że toczył się w tym samym powiecie wągrowieckim.

Zdybałem Ratajczyka, ale przede mną stał już korespondent „Chłopskiej Drogi", a ledwie swoje skończył, Ratajczyka porwano na trybunę. Ulotnił się również korespondent. Dopiero teraz chłopom rozwiązały się języki. Rej począł wodzić znajomek i entuzjasta Mazura. Otaczali go chłopi z Kieleckiego, Lubelskiego, Olsztyńskiego i Koszalińskiego.

— Ciekawy jestem, co ten dziennikarz napisze? Jeszcze zrobi z Ratajczyka prostaka. Bo uważacie, jak go spytał, gdzie się kryje tajemnica rekordu, Ratajczyk najpierw mu ze śmiechem pokazał spracowaną rękę, a potem szybko wyliczy: troska o uprawę gleby, właściwe nawożenie i stała opieka nad



rośliną w okresie jej wzrostu. A dziennikarz pyta: **to wszystko?**

Pewnie, że to wszystko, ale co to znaczy, niech ten dziennikarz pomyśli. Ja znam Mazura, jego pracę. Jeśli go Ratajczyk pokonał, to nie ręką ale głową. A Mazur ma głowę nie od parady. Po pierwsze to nie zwyczajny chłop. Wiecie, że za młodu był robotnikiem w pobliskiej kopalni soli, w Wapnie. Po drugie, w książkach to on zawsze szukał nie tylko zabawy ale nauki.

Wy myślicie, że Mazur sterczy tylko na swoim poletku buraczanym? Gdzie tam. On przecież jest sołtysem w Podolinie, on już w 47 r. parł do tego, aby w obu sąsiednich gminach Wapno i Domasławek założyć spółdzielnię samopomocową. A jak się cieszył kiedy w lipcu 48 r. łączył się „Rolnik", który miał cholerne obroty, ze spółdzielnią gminną, a jak się cieszył, kiedy powstał SOM i osiem jego ośrodków na gminie. On w tym wszystkim brał udział. On dopilnował założenia jednolitego bloku nasiennego „Oryginał" na terenie gromad domasławskiej gminy. Pytacie, do czego zmierzam? A do tego, że Mazur słusznie uważał — chcesz poświęcić należytą uwagę pracy w polu — zabezpieczaj spółdzielczość samopomocową, aby wszelkie twoje potrzeby społeczne i gospodarcze były zaspokojone.

To jeszcze nie wszystko. Mazur to nie żaden maniak i orginał. Pójść z burakami naprzód, rozumiał — pójść razem z gromadą. Podnosić wydajność razem z podnoszeniem się współzawodnictwa w gromadzie. Wicie, jak to dawniej bywało, jak chłop przyjmował jakąś nowość, to nie dlatego, że ją rozumiał, ale widząc lepsze wyniki, pytał co zastosowano. I potem ględził z namaszczeniem: **tak trzeba.** A dlaczego **tak trzeba?** Najczęściej nie wiedział. Mazur wciągnął całą wieś do uprawy buraka. A jest tam takich pięciu gospodarzy, co w wynikach tylko o krok ustępują Mazurowi. Wiecie dlaczego? Bo tam nie „szablonem" idzie robota.

Co niedziela mają zebrania, przychodzą plantatorzy nawet z innych wsi. Uczą się jak najdokładniej poznawać **życie** buraka cukrowego. Bez tego szablonem „tak trzeba", można się jak dyszlem nadziać. Nie wierzycie? O, widzę tu przodowników buraka z Olsztyńskiego i... Koszalińskiego, z szarfami jak się patrzy. Pewnie to Szulecki i Kulpa, zgadłem? Zgadłem. No to macie ręczycieli, czy dobrze mówię. Dam wam dwa przykłady. Mazur nawiózł potas w kwietniu, choć zasadniczo potas sieje się w końcu lutego i na początku marca. Dlaczego tak zrobił? Bo tak wycenił swoją glebę i nasz klimat. A siał buraki w maju, czyli że znów strzymał, aż u nas ziemia miała 14 stopni ciepła. A przecież każdy dzień opóźnienia siewu obniża plon o 3 q korzenia. Tak to trzeba regulować.

Drugi teraz przykład. Chłopi się śmiali, że Mazur gracuje i gracuje swoje buraki. Co to koń, żeby go co dzień czesać? A tu szło o taką rzecz. Na 1 hektar buraka trzeba 55 tysięcy hektolitrów wody. Więc znów musisz manipulować. Deszcz naraz sztuka, gracujesz wtedy, aby spulchniona ziemia utrzymała wilgoć i nie dała się wysuszyć słońcu. Ta walka idzie na obliczenia. Mazur zapisywał ilość opadu każdorazowego większego deszczu i stopień parowania. To robota nie „na oko".

Teraz chłopi patrzyli wyczekująco na przodowników w szarfach. Ci skinęli głowami, a Szulecki z Olsztyńskiego zabrał głos.

— O Mazurze to i ja czytałem. Warto dodać, że on dwa kursy przeszedł w Poznaniu i że robotnicy założyli w Podolinie elektryczność. Burak wymaga książek, czyli światła na wieczór. A jedna książka ciągnie do drugiej. U nas to się zaczęło od gazet i listów. Ludzie przybyli z różnych stron kraju to i mieli konieczność pisywania do rodziny. A o czym że pisali? Jak idzie w gospodarce. To była ciekawa szkoła, bo zmuszała do **całościowej** oceny własnej i rodziny gospodarki. Nasza wymagała wzajemnej pomocy. Byliśmy sobie na początku obcy ale nie było ustalonych przegród, jak na starej wsi, ludzie ciekawili się wzajemnie. U nas w Olsztyńskiem ziemia ciężka, potrzebuje na średniackiej gospodarce dwóch koni. Jak je zbilansować? Bydłem i trzodą chlewną. Teraz mamy po 2 krowy, jałówkę i dużo świń. Właśnie dlatego przoduję na powiecie w dwu hodowlach: buraka i trzody chlewnej. Wzmocnione u nas były warunki na wspólne życie gromady i dało się je wykorzystać na jeszcze pełniejsze zorganizowanie gromady. Idzie nie o to, aby z 20-tu, czy 30-tu



gospodarzy kontraktujących, każdy sobie hodował, ale żeby grupa hodowała. Bo pomyślcie, jeden dobry pomysł nie zabezpiecza całego procesu hodowli, ale dziesięć, dwadzieścia pomysłów na pewno. A tu jeszcze dochodzi część roboty organizacyjnej: nawozy, węgiel, maszyny, otręby, pasza, umowy, dostawy itd.

Myśmy po żniwach skrytykowali plantatorów buraka z Tomaszówki. Mieli suszę i należało im dopilnować ulg w skupie zboża i podatku, a jak wieś posłyszała, że w gminie wydają kontraktorom cukier przez kilka dni każdy jeździł osobno po cukier. Takie mieli zajęcie, bo gmina daleko o 17 km., na ostatek okazało się, że nie tam wydają cukier. Co to za grupa? Jeden by przywiózł dla wszystkich i koniec. Plantacja i hodowla wymagają zbiorowego i zorganizowanego działania. To jest warunek dużej wydajności. A jeszcze mieć takiego Mazura albo Ratajczyka za kierownika toż to wtedy pod słońcem rośnie złota żyła dla wszystkich na wsi.

HEJ, MASZYNY!

Trafiłem na biwakującą gromadę. Nie był to jednak gnuśny odpoczynek. Większość wprawdzie rozsiadła się wielkim kołem ale chóralne oklaski i śmiechy kazały się domyślać mówców. Znam takie sytuacje. Zazwyczaj osią bywa jeden temat, wokół niego oplatają gawędziarze swoje wspomnienia. Im ciekawszy dla słuchających temat, tym więcej chętnych do opowiadania.

— Ja to przez ten POM wdepnęłam do spółdzielni produkcyjnej — opowiadała tęga kobieta.—A było to tak. W tamtym roku nastał u nas w okolicy POM. Chłopi z wiosną uchwalili w trzy grupy umówić się na żniwa. Po orce i siewach wiosennych to i ja byłam chętna. Niech te zwirza maszynowe za nas zrobią. Ale jak przeleciał maj, czerwiec, krzyże mi odpoczęły to i myśl się odwróciła. Jeszczem nawet, mówiąc prawdę, traktora na oczy nie widziała, a kułaki, bo się to POM-y dopiro pojawiły, zaczęły straszyć, że traktor ziemię gniecie, a snopowiązałka połowę ziarna wytrzepie. I co tu owijać w bawełnę, samam propagandę babską robiła, że obejdzie się. Ale kiedy traktory przyjechały, znów mi się odmieniło, bo tak prędkiej roboty nigdy nie widziałam jeszcze. Na czele bab poszłam do POM-u prosić grzecznie. Dobrze — powiadają — ale mamy plan, obliczymy możliwości, czyli że za kilka dni. Dałabym się zbyć, ale słyszę, że do spółdzielni w Wysokiej wysyłają na noc traktory. Jak tam możecie to i do nas dajcie na noc. A kierownik mówi do mnie tak: tam jest jedno, duże pole, a u was po ciemku trudno nawracać na małych działkach, jak omijać bruzdy i miedze, co?

Wreszcie przyjechali. Powstała wrzawa, bo każdy chciał, aby od jego pola zaczynać. Traktorów było trzy. Traktorzysta, przydzielony do naszej grupy, zapalił se papierosa i słucha, jak my się wadzimy o kolejność, wreszcie odzywa się do mnie, bom najgłośniej krzyczała.

— Dutkowa — zacznę od was, a co wy będziecie robić cały dzień?

— Snopki układać.

— A dacie radę.

— Nie dam dziś, to jutro skończę.

— A co oni będą robić?

— A z rękami w portkach czekać do wieczora — zawołał któryś.

— To ja wam dam radę. Obiecuję do wieczora wszystko zżąć. Wy się na tem nie znacie: 9 ha to poważny rekord. Chcę go dla was osiągnąć. Będę wyglądał pod wieczór tak, że mnie pożałujecie. Ale ja siebie nie żałuję, a wy?

— Co my? Gadaj, jakiś taki honorowy.

— A wy, jak was tu ze trzydzieści, stańcież ze mną do zawodów. Wszyscy za traktorem z pola na pole stawiać snopki. Do wieczora i ja i wy będziemy gotowi.

Wieczorem żyto stało w mędlach. Myśmy się bardzo nie namęczyli, a wesołości podczas dnia było co niemiara, bo się i gadało w robocie a to z tym a to z tamtym i śpiewało i cieszyło, że składnie wszystko idzie. Ale traktorzysta był rzeczywiście strasznie blady. Dopierom wtedy przyuważyła, że to jeszcze dzieciak.

— Podobało wam się — pyta na odjezdnym.

— A owszem, pięknie dziękujemy.

— A wiecie, co wam się spodobało? Spółdzielnia produkcyjna I-szego typu. Tak samo się w niej pracuje, jak wyście dzisiej. Do widzenia!

A to agitator. Na innych grupach też się ludziskom spodobało. I jesienią założyliśmy spółdzielnię I-go stopnia.

— A ja znów miałem takie wydarzenie — zaczął pewien chłop.— Idę drogą a tu jedzie parobek kułaka Czapli z Domaniewic. Przysiadłem się i zagaduję — dokąd?

— Wiozę list, mój gospodarz nie pożycy POM-owi — żniwiarki.

— A wiesz ty, co to POM?

— No, maszyny, znaczy sie.

— A widziałeś je?

— Chyba, widziołem.

Wjeżdżamy na poligon POM-u. Były to ostatnie dni przed żniwami. Akurat robiono przegląd maszyn. Wszystkie 60 traktorów i snopowiązałek w rozwiniętym szyku były na biegu.

Mój parobek, jak nie ściągnie konie.

— Rety, wojna, cy co? I dawaj zawracać. Siłą musiałem konie i jego



przytrzymać. W rezultacie podobno trzy godziny w POM-ie przesiedział, każdy traktor kolejno oglądał i znów od początku.

Wrócił bez pisemnej odpowiedzi, miał dać ustną. I taką dał.

— Po pirwse, nalezy mi się u wos jesce 500 zł. i ubranie, jak było w umowie. Po drugie po żniwach od was odchodzę. A po trzecie, jak nie pozycycie snopowiązałki dla sąsiedzkiej pomocy, to przyjdzie traktor jedyn, może trzy, ale w przyszłym roku to wam radzę z chałupy nie wyłazić. Bo będzie ze dwadzieścia traktorów, to wam który nogę oberwie!

— Oj, dobrze ten parobek powiedział — podjął gawędę nowy mówca. — W tym roku to już wszędzie chłopi mieli smak na maszyny. Pisał mi krewniak z Włoszczowskiego, że na ich wieś, Ostrów się nazywa, dopiero tego lata pierwszy raz miała zawitać snopowiązałka z SOM-u, to tak na nią czekali, jak dawniej na biskupa. A u nas? Ja jestem znad Sanu, ze spółdzielni produkcyjnej w Skowierzynie. Chcieliśmy sąsiedniej gromadzie w Żabnie pomóc i na co wyszło, posłuchajcie. Tam są wsie chłopsko - robotnicze. Małe zagony ale część członków rodziny w murarce, stolarce, hutnictwie i innych zawodach. I na takie bym podzielił ich grupy. Pierwsza ma konie (a część rodziny w pracy pozarolniczej), druga — bez konia (a część rodziny poza domem), trzecia — bez konia, a wszyscy na miejscu. U nas jeszcze panuje SOM. Ma 18 siewników i prawie tyle żniwiarek, ale na konie. Któż więc z maszyn korzysta? Pierwsza grupa, bo mają konie. Tak było przy siewie. W drugiej — wynajmowali konia do bronowania a kobieta siała ręcznie. Siewnikiem już nie, bo by kosztowały konie i robotnik za całą robotę siewu. Przy żniwach znów się to powtórzyło. Używała sobie pierwsza grupa, druga wynajmowała kosiarza, a w trzeciej — wdowy i dziewczęta same żęły tygodniami. Pomoc sąsiedzka? Trzeby by jej dla 20—30 rodzin. To mówię wam, taki do nas ludzie mieli żal, żeśmy nie sprowadzili traktora, tylko konną żniwiarkę. Ale POM jeszcze daleko. Było zebranie — powiedzieliśmy: o Hucie Częstochowa słyszeliście? No to widzicie, będzie w przyszłym roku więcej traktorów. I nie tylko traktorów. O Gorzowie, Wizowie, Andrychowie itd. słyszeliście? Będzie więcej nawozów, elektryczności i wszystkiego, co potrzeba, aby polepszyć naszą pracę i wydajność. Zrobił się ruch na wsi. Chłopi chcą siać w bloki, powiadają, prędzej nam przyślą traktor.

— A to tak, jak u nas w Porąbce — wtrącił się inny chłop — u nas są dwie kopalnie w pobliżu. I bardziej jesteśmy górnikami niż rolnikami, bo mamy od 1 — 3 ha. Ale są też zalane łąki. Razem byłoby ze 700 ha pod gospodarkę orną i hodowlaną. Diabli nas biorą, bo traktorem nie można orać na paseczkach po 15 m szerokości, a takie u nas zagoniki. Chcemy spółdzielni produkcyjnej, ale nie ma takiego statutu. 100 dniówek nie może z nas nikt dać, bo pracujemy w kopalniach, ale jest rezerwuar energii, który by wystarczył na porządną obróbkę i hodowlę tych 700 ha. Wysyłamy pisma, może się znajdzie na nas sposób. Wszak teraz coraz więcej jest takich wsi, skąd chłopi chodzą do fabryk, hut i przemysłu. O, weźcie na przykład Wierzchosławice, stamtąd 80 proc. chłopów jeździ do Chorzowa, Tarnowa i Mościc, spółdzielnię produkcyjną założyli średniaki, a co z tymi chłopami - robotnikami?

PAŃSTWU SPRZEDAJEMY

— A rachowaliście terminy skupu zboża przez ostatnie trzy lata — mówił wysoki chłop, spoglądając bystro po otaczających go słuchaczach? — Widzicie, tu rzecz główna. Z 49 roku ciągnął się skup aż do lipca 50 roku. Z ubiegłego roku aż do marca. A w tym roku skończymy przed zimą. Co to znaczy i co to daje, jak myślicie?

— A-no to, o czym dzisiaj mówił nasz Prezydent. Jak przemysł ruszył całą parą, to i my musimy pilnować naszych zobowiązań rolniczych. Ładnie by wyglądała gospodarka narodu, jakbyśmy tak jedni od sasa, drudzy do lasa.

— A na czym to polega, że my już nie „do lasa"?

— Ja tak myślę — odezwał się poważnie wyglądający gospodarz, — że nas w pierwszych latach ciągnęło jeszcze na „wolny rynek"... Jeszcze po staremu chcieliśmy produkować i *handlować* równocześnie. Potem, jak się chłopi poznali na Mikołajczyku, pamiętacie, była bitwa o handel uspołeczniony. Państwowe i spółdzielcze sklepy pogłębiły nasz sojusz robotniczo - chłopski. Na tej drodze walczyliśmy ze spekulacją w mieście i na wsi. Ale stare nałogi jeszcze w nas pokutowały, jeszcześmy dobrze nie rozumieli, że jak zbierzesz plony to w państwie ludowym, w sojuszu robotniczo - chłopskim nie masz potrzeby handlować, ale po prostu sprzedajesz państwu, czyli w ten sposób robotnikowi i miastu. No i macie te nawyki, cały rok przeciągnął się skup zboża z 49 roku., pół roku trwał z ubiegłych zbiorów, a przecie ceny były już stałe i opłacalne.

— Dobrze mówicie — podjął główny mówca. — Mimo, że wzmógł się handel uspołeczniony, chłopi w spół-

(Dokończenie na str. 2)



WSRÓD CHŁOPÓW

(Dokończenie ze str. 1)

dzielni gminnej jeszcze widzieli przede wszystkim towary osobistego użytku. Tyle od robotników. A jeszcze nie łączyli razem drugiego ramienia sojuszu — na *produkcję*. Czytaliście dziś na transparentach, że mamy już 5 milionów umów kontraktacyjnych, tzn. 6 razy więcej niż w r. 1947, kiedyśmy pobili Mikołajczyka, agenta anglo-amerykańskich zakusów na ujarzmienie naszego narodu i wyzwolonych przez rewolucję dopiero co chłopów.

Kontraktacje obejmują przecież najbardziej dochodową produkcję: wysokokwalifikowane zboża, przemysłowe i hodowlę. A jakże te kontraktacje rosłyby, gdyby nie pomoc klasy robotniczej w maszynach, nawozach, nasionach, elektryfikacji, agronomii, uświadamianiu politycznym i nieustannej walce klasowej z wyzyskiwaczami i spekulantami? Więc, gdyby nie pomoc w produkcji? Zaczął się zatem sojusz na „metal". I ten metal kieruje i organizuje naszą produkcję. Jak coraz mocniej rozwijają się PGR-y, jakie sukcesy mają już spółdzielnie produkcyjne, no i jak podrosła produkcja u mało i średniorolnych?

— Jeśli idzie o średniaka — wtrącił jakiś chłop — to on wchodzi w kontraktację na całego.

— A wejdzie jeszcze bardziej, skoro widzicie, że w tym roku z nowych kombinatów rusza już nowa produkcja przemysłowa i to potokowo.

— Ale także samo znaczy tu i opłacalność — dopowiedział ktoś z boku.

— A tak, na to właśnie chciałem zwrócić uwagę. Co się w tym roku po żniwach pokazało?

Nie oderwie już chłop skupu zboża od kontraktacji, od przemysłowych roślin i hodowli. Bo kto kontraktuje, ten ma ulgi w skupie, a pomoc w produkcji, kto kontraktuje — ma ulgi na plantacji i hodowli, jak wiecie, w dostawie węgla, kredytów i zmniejszeniu podatku gruntowego, a w podatku gruntowym nadto niezaliczanie dochodowości i wiele innych ulg. To co to razem znaczy?

— Aha rozumiem, kontraktacja od początku jest umową i na produkcję i na zbyt. A że jest umową z państwem, to ona toruje drogę uświadomieniu, że jedna jest sprzedaż dla chłopa - obywatela — *państwa*.

— Ano właśnie. Za nami jest bitwa o skup zboża w ubiegłym roku, która pokazała chłopom: ile ma kułak, ile chowa na spekulację, pokazała, ile my wszyscy mamy. Za nami jest sukces solidnie rozwiniętej produkcji kontraktacyjnej, sukcesy PGR-ów, spółdzielni i POM-ów. Przed nami rozszerzona fala produkcji przemysłowej z kombinatów.

Na tych trzech podstawach rząd ludowy w tym roku przez liczne ulgi i premie za sprzedaż ponad plan i umowę chyba do reszty przekonał chłopów, że w socjalistycznym narodzie państwo jest jedynym w gruncie rzeczy odbiorcą produktów rolnych, skoro ono w imieniu klasy robotniczej i całego narodu zamawia produkcję rolną, określa stopień potrzebnego dla całego społeczeństwa jej wzrostu i ono swoją siłą polityczną i ekonomiczną wzmaga rozwój produkcji pracującego chłopstwa.

ZA „KRZEWICIELAMI PRZODUJĄCYCH METOD"

Słyszeliście, co mówił nasz Prezydent, że „*krzewicielami przodujących metod gospodarki są i będą coraz licznie; te spółdzielnie produkcyjne, które potrafiły... wykazać swymi osiągnięciami rzeczywistą przewagę zespołowego gospodarowania nad gospodarką indywidualną*".

— Ech, wy od zboża, buraków i przemysłowych! Z PGR-u weźmiecie nasiona selekcyjne, z POM-ów maszyny, ze spółdzielni gminnej — nawozy i uszy po sobie, co? Mamy jeszcze czas, mówicie i grzejecie się na piecu?

— A wy świniopasy i krowiarze biegiem lecicie do spółdzielni?

— W tym sęk, że biegiem jeszcze nie lecimy a rozum wskazuje, że należałoby. Hodujemy krowy i świnie niby wszyscy. Ale jak? Powiedzmy sobie uczciwie, że zboża są u nas na planie pierwszym, a hodowlę i podstawę żywienia pogłowia traktujemy — w produkcji — na drugim planie, choć zyski to mamy nawyk ciągnąć w pierwszym rzędzie z hodowli.

— Jak my produkujemy zboże, to nam brak pasz. Ale się też o nie dopominamy.

— Właśnie, oto czwarta rzecz, którą chcielibyście, aby was obsłużył socjalizm, POM, PGR, spółdzielnia gminna i *motozbyt pasz* a wy w środeczku po staremu na swoim, co?

— A co wy mądrzejszego wymyślicie?

— No, my na księżyc nie liczymy, jak wy, krzykacze. Paszę trzeba *produkować, plantować i hodować*. To my już rozumiemy.

— A co jeszcze?

— To, czego wy nie rozumiecie. Nasze bydło nizinne stanowi „plastyczny materiał", ono może lekko produkować o 200% więcej mleka, a Plan 6-letni zakłada zwyżkę tylko o 102%. Nasze czerwone, polskie też mogłoby się potężnie dźwignąć, choć nazywane było „chłopskim bydłem", bo jak mówili panowie: „chłop musi mieć krowę małą, odporną na nędzę, jak on sam, taką, która może wegetować na niewystarczalnym zagonie i poniżej warunków dla ras wyższych". To jest krowa podgórska, ale wy i z nizinnego robicie habetę na własnym zagonie.

Nasz kierunek hodowlany trzody chlewnej jest analogiczny, jak w Związku Radzieckim i dlatego duże możemy mieć korzyści — ale i dla bydła i trzody bazę paszową należy potraktować tak, jak się traktuje rośliny przemysłowe. I my, hodowcy dobrze to już rozumiemy. Więcej, my widzimy, że nadchodzi czas na poważny krok naprzód.

— No to może od was będziemy brać paszę? Co?

— A niech was diabli! Paszę produkować muszą wszyscy, ale nie po staremu. I dlatego spółdzielnie produkcyjne „krzewią przodujące metody" i pod tym względem. Porachujcie. Na indywidualnym gospodarstwie ile dajecie przestrzeni na paszę? 5%. A w spółdzielni mogą dać 15 — 20%. I taką przeprowadzić nowoczesną plantację, że hej. Byłem w jednej spółdzielni, gdzie się zebrały same bidoki, 20, ziemi 67 ha, ale 22 krowy! To kiedym usłyszał na zarządzie, że oborowy chce się zrzec tego stanowiska, bo mu za ciężko i proponuje, aby co 2 tygodnie zmieniał się „opiekun" nad krowami, to choć jeszczem nie spółdzielca ale taką tam zrobiłem awanturę, jak nigdy w życiu. Pokazało się, że oborowy wszedł do spółdzielni właśnie z zamiłowania do hodowli, ale ten były parobek pracował na *wyczucie* a zarząd „zbożowców" nie pomyślał, że tu kurs potrzebny i podręczniki. Ale spółdzielnie wcześniej, czy później będą stosowały oświecone, naukowe metody pracy.

Dzisiaj na defiladzie widziałem przodowników hodowli świń, Gołębiowskiego z woj. bydgoskiego, który zakontraktował 26 tuczników i Węgrzyna z woj. krakowskiego, kierownika grupy hodowców trzody chlewnej. Później z nimi gadałem. Marnuje się nasza umiejętność — mówili mi — być hodowcą na PGR-ze, jak sławny tow. Sosnowski, to satysfakcja albo w spółdzielni produkcyjnej. Wtedy dopiero jest pożytek społeczny, wtedy rośnie produkcja dla narodu, wtedy sojusz robotniczo-chłopski sięga szczytu.

Piotr Chmura

LESZEK HERDEGEN

POECI DOBRZY I RÓŻNI II)

Mam przed sobą osiem książek poetów, którzy debiutowali już po wojnie. Jak już wspomniałem w pierwszej części niniejszego artykułu [1]) tomiki te są podsumowaniem bardzo ważnego etapu w twórczości ich autorów. Są świadectwem wyzwalania się poetów średniego (już nie najmłodszego) pokolenia z błędów i obciążeń zarejestrowanych w książkach debiutanckich. Andrzej Braun, Jan Maria Gisges, Jan Koprowski, Tadeusz Kubiak, Artur Międzyrzecki, Jerzy Miller, Tadeusz Różewicz, Witold Wirpsza — to poeci mający za sobą spory już okres pracy twórczej, poeci, którzy wprawdzie wydali już nieraz po kilka książek (Kubiak, Różewicz), jednak jeszcze w pełni artystycznie nie ukształtowani. Debiutowali oni przeważnie w latach 1945, 1946, 1947 — w okresie ekspansji obcych nam tendencji literatury zachodnio-europejskiej i nawrotu kierunków polskiej literatury burżuazyjnej dwudziestolecia, reprezentując wtedy postawę tzw. „postępowej inteligencji". Droga ich do poezji prawdziwie politycznej, bojowej i partyjnej (jeszcze nie zakończona) długotrwała i skomplikowana, bardzo różnorodne rezultaty słusznych zamierzeń poetów — wymagają dokładnej analizy.

TRUDNY WARSZTAT

Twórczość Jana Koprowskiego, Jerzego Millera i Artura Międzyrzeckiego uległa w krótkim czasie tak poważnym przemianom, że musi nosić obecnie cechy pośpiechu i niedopracowania. Obruszając się na pewne łatwizny i potknięcia artystyczne tych poetów, nie zapominajmy, że rozpoczynali oni pracę twórczą na zupełnie innych pozycjach ideowo-artystycznych, że ich debiuty były wyrazem obcego nam światopoglądu. I tak, jak w pierwszym tomiku Millera „Pieśni inwalidzkie" brak skonkretyzowanej postawy ideowo-politycznej prowadził poetę do separacji i roli biernego obserwatora rzeczywistości, co pociągało za sobą nierealistyczne, od Maxa Jacoba Apollinaire'a i nadrealistów przejęte środki poetyckie — tak tomik Międzyrzeckiego „Strony przydrożne" (Paryż, 1949) był smutnym pamiętnikiem zagubionego w grozie wojny walczącego na Zachodzie żołnierza. U Międzyrzeckiego z kolei odezwał się Rimbaud. Nie chodzi tu o śledzenie „wpływologii". Chodzi o przypomnienie dobrze nam znanego zjawiska, którego twórczość tych poetów jest jeszcze jednym potwierdzeniem: brak aktywnej postawy wobec rzeczywistości nie pozwala poecie organizować swych środków artystycznych po linii komunikatywności i funkcji społecznej wiersza, nie pozwala na stworzenie jedności formy i treści.

Rodowód Jana Koprowskiego jest nieco odmienny. W swym pierwszym tomiku „Poezje dla ciebie" (Goslar, 1945) Koprowski ograniczył się do tematyki miłosnej, przy czym liryka jego była ckliwa i sentymentalna, bardzo egotyczna, sposoby poetyckie łatwe i niewyszukane. W jednym z wierszy poeta zapowiadał wprawdzie powrót do kraju i „szukanie prostego człowieka", jednak w całości jego książka posiadała znikomą wartość społeczną.

Wszyscy trzej poeci stanęli obecnie na nowych pozycjach ideowych i artystycznych, przemyśleli zasady partyjności poezji, wyraźnego nastawienia politycznego. Jednak uczynili to niedokładnie. Zapomnieli (oczywiście nie wszyscy w jednakowym stopniu), że poezja realizmu socjalistycznego nie tylko nie wyklucza — a przeciwnie postuluje — ciekawą, świeżą, związaną z treścią formę. Błąd ten, jak już wspomniałem, jest uzasadniony. Nastąpił zbyt gwałtowny zwrot w świadomości ideowo-politycznej naszych trzech poetów, aby przemiany zachodzące w warsztacie twórczym mogły im nadążyć i przebiegać równolegle.

1.

Podjęcie przez Jerzego Millera w jego ostatnim tomie [2]) nowej, bliskiej nam problematyki jest w stosunku do tematyki jego dawnych wierszy poważnym postępem. Strajki dokerów we Francji, walka klasy robotniczej w krajach kapitalistycznych, wojna na Korei, budownictwo komunizmu w Związku Radzieckim, współzawodnictwo pracy — oto zagadnienia, które stały się obecnie osią zainteresowań poetyckich Jerzego Millera. Wydaje się jednak, że zbyt mało uwagi poświęca sprawom naszego kraju, codziennym troskom i radościom ludzi polskich miast i wsi. Podejmowanie tych wielkich tematów pociąga za sobą często pewną ogólnikowość i schematyczność poetyckiego ujęcia. Wielkie tematy nie zwalniają z obowiązku wielkiego wysiłku ze strony poety w kierunku jak najwyższej jakości utworu. Przeciwnie — wymagają jeszcze większej troskliwości niż t.zw. „zwyczajne". W związku z tym trudno zgodzić się z niektórymi utworami Millera („Wolni Francuzi", „Amsterdam", „Z pieśni o Stalinie", „Poemat o zwycięstwie"), nacechowanymi sloganowością i ubóstwem poetyckiego wyrazu:

„Bandy żandarmów
były chlebem
i solą zwycięstw.
Jedyna wartość
w nadziei.
W nadziei życie!"
(„Poemat o zwycięstwie")

Cytowany „Poemat o zwycięstwie" stanowi pewien specjalny gatunek poetycki bardzo chętnie choć rzadko właściwie uprawiany przez wielu naszych młodych poetów. Jest nim t.zw. „poemat polityczny", który jest zwykle bardzo obszerny, a nie mając charakteru epickiego, zbudowany jest z szeregu luźnych fragmentów lirycznych, które wiąże wspólny temat lub idea. Poematy te przeważnie nie syntetyzują ale zwężają procesy historyczne, operują formułkami, werbalizmem i sloganami, pozbawione są materiału obrazowego. (Chciałbym być dobrze zrozumiany: nie atakuję samego rodzaju poetyckiego — atakuję nieudane poematy. O tym, że gatunek ten można doprowadzić do doskonałości świadczy choćby genialna „Komuna Paryska" Broniewskiego).

W „Poemacie o zwycięstwie" Miller próbuje przedstawić: ideową rolę Związku Radzieckiego w walkach klasy robotniczej całego świata, zwycięstwo i jego doniosłość nad faszystowskimi Niemcami, znaczenie tego zwycięstwa dla całej ludzkości, narodziny przyjaźni polsko-radzieckiej i in. Tak szeroka problematyka utworu musi doprowadzić w końcu do ogólników i dość banalnych haseł.

„Aż przemówił żelazem front
tysiącami ton dziennie stali,
aż przemówił nadzieją front,
aż: — Na wroga! rozkazał Stalin.

Albo:

Nie pozwolili
praw ojczystych pogrześć,
ani wolności
nienawiścią zatłuc."

W tomiku znajdziemy wiele miejsc „puszczonych", dostrzeżemy wiele potknięć warsztatowych, których jaskrawym przykładem jest łamanie zdania dla uzyskania regularności rytmicznej strofy:

„Nie żyło. Chłopka podniosła
je z ziemi."
(„Bitwa o Pohang")

Przed Jerzym Millerem stoi trudne i odpowiedzialne zadanie wypracowania nowego artystycznego kształtu, nowej formy, która słuszne i bliskie nam treści jego poezji poda w sposób ciekawy i artystycznie wartościowy. Że pracę tę uwieńczą pomyślne rezultaty pozwalają wierzyć już niektóre dzisiejsze wiersze („Nowe Bałuty", „Wiktor Markiewka", „Opowieść o powstańcu znad rzeki Buk-Han"), odznaczające się prawdziwą prostotą i oryginalnym, jasnym obrazowaniem. Oto cytat na poparcie powyższego sądu:

„Przez kurz przedmieści,
śródmieść siatkę,
w czystym oparze mgieł
przedrannych,
uwalnia miasto już na zawsze
żołnierz broczący sił ostatkiem.
Pod sztandar krwią czerwonej
barwy
wpływa olbrzymia woda
Jang-tse".
(„Szanghaj")

2.

„Pytacie nieraz towarzyszu,
co to poezja — jakby w śpiewie.
A co ja dzisiaj wam odpiszę,
tego — jak Boga kocham —
nie wiem.

— — — — — — — —

Poezja zawsze jest i wszędzie
lecz diabli wiedzą co to ona.
Wiem tylko, że mnie gna i pędzi
nienasycona."

— w ten oto sposób Jan Koprowski [3]) komentuje swoją pracę twórczą w wierszu „Odpowiedź na zapytanie: co to jest poezja". I rzeczywiście, nie mija się wiele ze stanem faktycznym. Żywiołowa i bezpośrednia jego poezja — aintelektualna i beztroska — jest żywą ilustracją cytowanego utworu. Prawdę mówiąc, analiza błędów i zalet książki Koprowskiego jest bezcelowa, bo z chwilą, kiedy sam poeta stwierdza „diabli wiedzą co to jest poezja" i że go „gna nienasycona" — to trudno jego wiersze oceniać jako świadomie tworzone dzieła, mające określoną funkcję społeczną. Lecz porzućmy żarty. Twórczość Koprowskiego jest na tle bieżącej produkcji poetyckiej zjawiskiem bardzo znamiennym: jest przykładem jaskrawego lekceważenia rygorów formalnych, zaniedbania czujności w stosunku do każdego napisanego słowa. Z drugiej zaś strony konieczność intelektualnej, myślowej — nie tylko emocjonalnej — oceny opisywanych przez poetów zjawisk, przy zachowaniu całej bezpośredniości i prostoty — staje się nieraz niezbędna.

Lekturze tomiku Koprowskiego towarzyszy wrażenie o jakiejś wielkiej radości ogarniającej cały świat, który żyje w ładzie i spokoju pod promieniami nigdy nie gasnącego słońca. Beztroski optymizm wierszy Koprowskiego (przejęty od poetów wczesnego Skamandra) działa demobilizująco w chwili, gdy obóz imperializmu zagraża pokojowi, w w chwili, kiedy walka klasowa przebiega przez każdy odcinek naszego życia politycznego i gospodarczego. Dlatego wypadnie zaatakować poemat „Nowa ziemia", który sumując przemiany dokonane przez nas na wsi pomija walkę klasową — źródło i stały czynnik motoryczny naszych zwycięstw.

„Ty wiesz, że za ścianą
u sąsiadów
tacy sami chłopcy i światło.
Więc idziesz spokojny do łóżka
zapadając w sen
jak w żyto
i na białych jak łodzie
poduszkach
dopływasz do brzegów świtu.
Śpisz bez trwogi,
bo wiesz:
jutro, pojutrze i zawsze
nasze słońce i nasza ziemia.
W twoje oczy codziennie patrzy
rewolucja".

Uwagi powyższe dotyczą niemal wszystkich wierszy Koprowskiego podejmujących jakiekolwiek tematy z naszego życia. Powierzchowność społecznej analizy prowadzi w końcu do tak nieprzemyślanych ujęć, jak przyrównywanie czerwieni liści klonu do barwy walczącej klasy robotniczej („Czerwony klon"), lub zupełnie niepoważnych spostrzeżeń w rodzaju:

„Czyś mógł tego nie zauważyć,
że na murach coraz mniej
klepsydr?
Że uśmiechów coraz więcej na
twarzy,
i że człek coraz mądrzejszy,
lepszy?

My nie mamy czasu umierać
(nasze dzieje nie znają śmierci).
Nam budować, budować teraz —
źródło siły bije nam w piersi."
(„Warszawa żywych")

Wydaje się, że korzeni tych niedomagań w ideologicznej interpretacji zjawisk społecznych szukać trzeba w zbyt ogólnikowym traktowaniu tematu. Poeta jest pełen najlepszych chęci, pragnie aby wiersz był jak najbardziej społecznie aktywny — jednak brak przemyślenia opisywanych zagadnień, brak czujności w operowaniu środkami poetyckimi powoduje często zupełne zagubienie ważności tematu (np. „Lenin w Poroninie", „Petycja dziecięca" — wiersz ograniczający się do *prośby* o zachowanie pokoju, skierowanej nie wiadomo do kogo.)

Język artystyczny Koprowskiego nasunąć musi wiele zastrzeżeń. Pomijam już dziwne metafory w rodzaju „nasze domy — gdaczące kwoki" lub „wzdęte żagle wymion" — jednak bezwzględnie trzeba zakwestionować poetyckie spojrzenie Koprowskiego, gdy pisząc o listonoszu wiejskim, mówi:

„Twoja torba to nie jest torba.
To jest oddech ziemi i wiersz.
W niej i radość i miłość i groźba.

— — — — — — — —

W tobie góry marzeń i planów,
od których po prostu pękasz.
Przyjacielu, co dzień, w każde
rano
ku nam twoja steruje ręka."
(„Pochwała listonosza wiejskiego")

Tego typu potknięcia i łatwizny artystyczne osłabiają wymowę ideową wielu utworów.

Koprowski, porzuciwszy definitywnie egotyczną, a tym samym społecznie błahą tematykę debiutanckiego tomiku, podejmuje obecnie nowe, z naszą rzeczywistością związane zagadnienia. Jest to pierwsze i ważne zwycięstwo. A żywiołowość i bezpośredniość jego wierszy — z chwilą gdy poeta głębiej wniknie w naszą współczesność i usprawni swe środki poetyckie — będą elementami niezwykle cennymi.

3.

Poemat Artura Międzyrzeckiego p.t. „Szyby Auchel" [4]) świadczy o solidniejszym i głębszym zrozumieniu poetyki socjalistycznego realizmu przez poetę niż to miało miejsce w wypadku poprzednich dwóch poetów. Mimo tego, że poetycka przeszłość Międzyrzeckiego obfitowała w poważne błędy i zawikłania ideowo-artystyczne, to jednak obecny poemat jest, spośród omawianych dzisiaj tomów, pozycją najdojrzalszą. Międzyrzecki wypracował sobie jasną i żywą formę — może niezbyt jeszcze oryginalną, jak to postaramy się za chwilę wykazać — ale w każdym razie dobrze służącą do wyrażenia pięknego i bogatego tematu, jakim są dzieje polskich górników - emigrantów we Francji.

Poeta bardzo trafnie kreśli obrazy z niedawnej przeszłości Francji — z okresu międzywojennego dwudziestolecia, kiedy kraj ten, a przede wszystkim zagłębia węglowe Nordu, Pas-de-Calais, Meurthe-et-Moselle i in. były celem wędrówek emigranckich tysięcy polskich górników, zmuszonych opuszczać swój kraj w poszukiwaniu środków do życia. Przedstawia wyzysk i ucisk polskiego i francuskiego robotnika w kapitalistycznej Francji, ich walkę, strajki, więzienia. Niezawodnym sojusznikiem w walce z wyzyskiem, w walce na barykadach rewolucyjnej Hiszpanii, w walce z okupantem hitlerowskim była zawsze polska emigracja robotnicza — co też poeta bardzo mocno i celnie akcentuje. Tak samo dziś u boku francuskiego robotnika walczy proletariusz polski — z tą tylko różnicą, że więzienia są amerykańskie, a miejsce Reynaud'a zajęli Schumann, Pleven i Moch. Słusznie też we wstępie pisze poeta, że „górnicza Polonia łączy się z Francją walczącą, Francją szybów Auchel, Francją Raymonde Dien i Francją marynarza Martina".

Oto szkicowe zaznaczenie problematyki utworu Międzyrzeckiego. Utwór napisany jest w guście wspomnianego już wyżej „poematu politycznego". Jest właściwie cyklem wierszy na wspólny temat, związanych postacią górnika Wdowiaka, który jednak nie jest postacią literacko pełną — jest tylko jednym ze środków pomocniczych służących do wyrażenia problemów i spraw obserwowanych przez poetę stojącego na platformie lirycznej, nie epickiej. W ujęciu Międzyrzeckiego obszerny poemat liryczny spełnia bardzo dobrze swe zadania. Daje skrótowe opisy zdarzeń, zaznajamia ze środowiskiem, a jednocześnie agituje — mając nieraz sugestywność mowy bezpośredniej. Opierając się na znakomitym wzorze — „Komunie Paryskiej" Broniewskiego Międzyrzecki poemat swój ciekawie komponuje, wiążąc poszczególne fragmenty — mimo odrębnych tematów tychże — w logiczną i zwartą całość. Wypadnie jednak ustosunkować się krytycznie do zbyt mechanicznego przejmowania niektórych chwytów poetyckich i ujęć z twórczości patrona Międzyrzeckiego — Władysława Broniewskiego. Oto fragment na poparcie powyższego sądu:

„Ciężkie kamienie nocy
Przywalają miasto od ziemi.
— No co, pójdziemy, chłopcy?
— Pójdziemy, dowódco, pójdziemy!

— Pójdziemy, dowódco górniczy:
Wojnę z faszyzmem wygrać —
Daleko na każdej ulicy
bije się o nas Stalingrad.

Daleko walka się toczy
O wolność wszystkich ziem
I świecą gwiazdą po nocy
Moskwa i Kreml".

Nie sądzimy, że jest to zarzut wielkiej wagi. Dobrze się stało, że dotychczasowy zwolennik nierealistycznych, obcych nam sposobów poetyckich zwrócił się do najlepszych tradycji i osiągnięć polskiej poezji postępowej. Niemniej to stadium przejściowe — że takim jest, to nie ulega wątpliwości — nie może być długotrwałe.

Pewne zastrzeżenia budzi również tendencja do „przeokrutniania" wroga, do przedstawiania go trochę jako smoka z bajki. Jest to błąd typowy również dla naszej satyry politycznej, dlatego wydaje mi się, że trzeba go zasygnalizować.

„Wyciągał pazury faszyzm,
z prefektur zęby szczerzył —
stawały koła maszyn... itd.

W dni ludowej budowy,
W dni dzwoniące jak spiż,
Kolaboracja znowu
Lisi skrzywiła pysk.

Kuli się prowokacja, szczerzą się zęby
agentów —
Płyną ciężko sztandary zza ulicznego zakrętu."

Epitety te i ukosmicznianie wroga osłabiają wymowę ideologiczną poszczególnych fragmentów.

W całości jednak poemat Artura Międzyrzeckiego jest książką wartościową i zyska na pewno dużą poczytność.

W następnej części artykułu znajdzie Czytelnik omówienie twórczości A. Brauna, J. M. Gisgesa, T. Kubiaka, T. Różewicza i W. Wirpszy.

Leszek Herdegen

---

1) „Wieś" Nr. 36, 9.9.1951.
2) Jerzy Miller: „Słowo na pozycji", Czytelnik 1951 str. 66.
3) Jan Koprowski: „Nowa ziemia", „Książka i Wiedza" 1951 str. 73.
4) Artur Międzyrzecki: „Szyby Auchel", „Książka i Wiedza" 1951 str. 32.

ANIELA MARIAŃSKA

NA NOWEJ DRODZE

Drukowane poniżej fragmenty prozy wyjęte zostały z powieści chłopki - działaczki, autorki wydanych wspomnień z wycieczki chłopów polskich do ZSRR. W powieści zamierzonej na dłuższy cykl autorka przedstawia z dużą prawdą autentyczną założenie we wsi spółdzielni produkcyjnej. Wartość tej próby literackiej polega na żywości przedstawienia sytuacji i typów ludzkich oraz na świadomym konstruowaniu fabuły powieściowej na materiale współczesności, traktowanej historycznie, etapowo, wreszcie na słusznym uwypukleniu elementów walki klasowej. Powieść Mariańskiej — dzieło nie literata, zasługuje jednak po starannym zredagowaniu na wydanie książkowe.

REDAKCJA

U GRELÓW

Grela z przyjemnością patrzył na baraszkujące prosiaki.. Ledwie świt zaczął rozpraszać ciemności, wypuścił je z chlewika, by gnój spod nich powyrzucać. Żal mu już było zamykać do ciasnego pomieszczenia, ale robiło się coraz widniej, a trzeba było jeszcze inne przegrody uprzątnąć. Zawarł więc do chlewika najmniejsze prosiaki, a wypuścił na okólnik sześciomiesięczne warchlaki. Pomimo, że ryje miały zadrutowane, a wkręcony w nie drut sprawiał ból przy ryciu, jednak zapamiętale przewracały ziemię, pustosząc podwórko.

Grela szybko się uporał z gnojem i zapędził szkodników do chlewa. Teraz z kolei wypuścił na dwór dopasające się tuczniki. Te już ociężale stąpały po podwórku pochrząkując z rzadka..

Grela nie mógł od nich oczu oderwać.

— Po półtora metra jak ulał — stwierdził w duchu — Trzeba wkrótce sprzedać, bo teraz gorąco.

Mogą zachorować Termin odstawy za dwa tygodnie, ale może się da przyśpieszyć.



Miał zwyczaj hodować po sześć świń równocześnie, ale różnej wielkości. W ten sposób zapewniał sobie przypływ gotówki w równomiernych odstępach czasu w ciągu całego roku. Gdy sprzedawał tuczniki, kupował zaraz małe prosięta. Wtedy tylko czuł się dobrze, gdy ich miał cały komplet.

Niedługo jednak mógł się przyglądać spaśnym tucznikom. Wschodziło słońce. Swym blaskiem oświetliło najpierw deski na stodole i przeświecając przez gęsty sad dotarło do podwórza.

Grela pospiesznie zamknął świnie, umył pod studnią nogi i wszedł do chaty.

Żona hałasując garnkami wyszła do obory doić krowy. Córka Zośka popłakiwała z cicha koło pieca szykując śniadanie.

— Cóż ty się tak mazgaisz od samego rana? Skaranie boskie z wami. Zawsze tylko płacze i kłótnie. Człowiek chwili spokoju nie ma.

— To niech mnie nie biją.

— Kto cię bije?

— No mama.

Poszedł do obory.

— Za co żeś ty matka znowu Zośkę zbiła?

— Ale, głaskać ją będę. Ma porządnego kawalera, to jej się gacha zachciewa. Michał chłop jak się patrzy. Gospodarz na sześciu hektarach. A że już starszy i trochę utyka na jedną nogę to nic wielkiego. Starszy to mądrzejszy. A jak kulawy to za innymi latał nie będzie. Ale gadaj tu do niej, kiedy ona chce Wicusia gołodupka.

Obora przylegała do domu mieszkalnego. Poprzez drzwi prowadzące z kuchni prosto do obory Zośka słyszała słowa matki.

— A właśnie, że nie pójdę za Michała — zawołała — choćbyście mnie zabili to nie pójdę. Nienawidzę tego sknery, kuternogi. Samiście go nie chcieli, jak chodził do was jeszcze za panny. A teraz chcecie za niego swoją córkę wydać?...

— Stul pysk. Bo cię tak zamagluję, że popamiętasz.

— Właśnie że będę gadać. Przecież to ni chłop ni baba. A przy tym taki nieprzyjemny. Ani mu nawet broda nie rośnie. Brr... Aż mi się mdło z obrzydzenia robi.

— Nie bądź głupia. Stary to wnet kipnie, a tobie majątek zostawi. Później możesz sobie wybrać jakiego zechcesz...

Z podwórka rozlegało się klepanie kosy. To najstarszy syn Greli Józek szykował się do kosiarki.

Grela miał już drugą żonę. Po pierwszej — zmarłej na suchoty w trzecim roku małżeństwa — miał tylko jednego syna — Józka. Z drugą ma dwie córki i syna.

— Jak tam, skończysz wnet? — zapytał Grela.

— Zaraz. Już kończę.

Po chwili cała rodzina usiadła do śniadania. Pospiesznie jedli pytlowy chleb z gotowanym mlekiem. I jeszcze po kawałku chleba wziął każdy z sobą w pole, bo do obiadu daleko.

Po śniadaniu ojciec z synem idą w pole, niosąc kosy na ramieniu. Za nimi postępuje matka z córką.

Zośka trzyma się tuż za Józkiem i opowiada mu dzisiejszą sprzeczkę z matką.

— Nie ustępuj — doradza brat — Świat przed tobą otwarty. To nie tak jak dawniej, że dziewczyna chciała czy nie chciała musiała się zaprzedać za majątek. Wiesz, ja się zapisałem do Związku Młodzieży Polskiej. Chcesz, to ci załatwię przez ZMP, że cię wyślą do szkoły, na jakie kursy...

— A dlaczego ty nie idziesz do szkoły, albo do fabryki. Przecież ci matka jeszcze więcej dokucza, niż mnie.

— I ja pójdę, choć wolałbym na wsi pracować. Jakoś lubię wsową robotę. Pójdę, tylko, że teraz ciebie nie chcę tak zostawić. No, chcesz?

— Kiedy... jakoś mi żal tak z domu odchodzić. Zresztą i ja też lubię robotę na wsi. Może jeszcze matka da się uprosić.

— Ja wiem. Żal ci Wicka zostawić. Ano próbój. Przecież to twoja własna matka. Może się da ubłagać, choć wątpię. A co do Wicka to też mam zastrzeżenia...

— Wiem. Ty go nie lubisz. Ale co do niego to się mylisz.

— Nie mówmy lepiej o tym.

Rozpoczęła się kośba.

II

GOSPODARSKIE POGWARKI

W niedzielę po południu kilku chłopów zebrało się w domu Antczaka. Był tam i Chudoba, i Paw Walenty, i stary Mateja pykający fajeczkę.

Antczak, gospodarz na dziesięciu hektarach to namiętny hodowca koni. Potrafił godzinami całymi rozmawiać a sąsiedzi chętnie korzystali z jego rad, dotyczących czy to karmienia, czy leczenia koni.

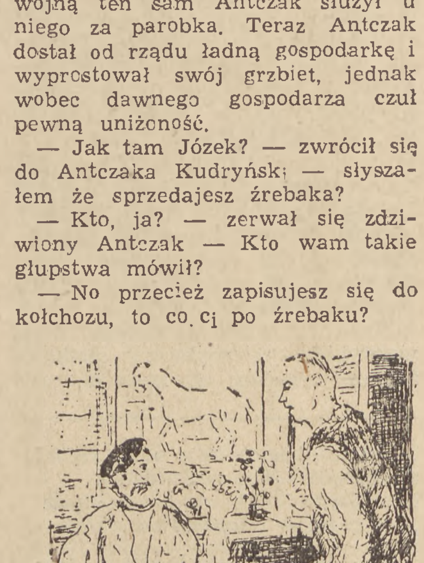
Obecnie przedmiotem jego dumy był źrebak dwuletni własnego chowu. Szczycił się nim przed całą gromadą. A było czym się szczycić. Źrebak udał się nad podziw. Próbował go już zaprzęgać. A gdy jechał nim w parze z również dobrze utrzymaną klaczą, sąsiedzi z zazdrością cglądali się na jego zaprzęg.

Dziś przyszedł do Antczaka Kudryński z Łubniowa, znany handlarz koni i bogaty gospodarz. Rozsiadł się wygodnie za stołem, z trudem mieszcząc na krześle swą okazałą postać. Z góry popatrzył na siedzących pod ścianą na ławie chłopów. Czuł się tu jak u siebie w domu. Bo przecież jeszcze przed wojną ten sam Antczak służył u niego za parobka. Teraz Antczak dostał od rządu ładną gospodarkę i wyprostował swój grzbiet, jednak wobec dawnego gospodarza czuł pewną uniżoność.

— Jak tam Józek? — zwrócił się do Antczaka Kudryński — słyszałem że sprzedajesz źrebaka?

— Kto, ja? — zerwał się zdziwiony Antczak — Kto wam takie głupstwa mówił?

— No przecież zapisujesz się do kołchozu, to co ci po źrebaku?



— Nic podobnego. Ani do kołchozu się nie wpisuję, ani źrebaka nie sprzedaję — zaprzeczył kategorycznie Antczak.

— Jak tam chcesz. Mnie się jednak wydaje, że powinieneś sprzedać póki czas. Po co mają ci zabrać? U nas w Łubniowie już niejeden żałuje, że wcześniej gadziny nie wyprzedał — łgał gładko Kudryński — Więc ja ci tak z ojcowskiego serca radzę. Gdy będziesz miał trochę pieniędzy odłożone, to łatwiej przetrzymasz biedę w tej wspólnocie...

Chłopi, siedzący pod ścianą z uwagą słuchali słów Kudryńskiego. Wprawdzie wiedzieli, że to bogacz i spekulant. Niejednego z nich już oszukał na koniach. Ale teraz w rozgoryczeniu powstałym po ostatnim zebraniu gromadzkim, każdy kto występował przeciwko spółdzielni wydawał im się przyjacielem.

Tylko Chudoba coś niedowierzał Kudryńskiemu. Ale i on słuchał, nie śmiejąc się sprzeciwić.

— A i wy nie powinniście tak spokojnie czekać — zwrócił się Kudryński do siedzących chłopów — Co się da z gadziny to sprzedać. Tylko zboże schować. Bo zboże to podstawa naszego życia. U nas też chłopi pochowali zboże. I dobrze zrobili. Kto ma zboże ten jest panem i nawet w wspólnocie mu bida mniej dokuczy niż innym.

— Słusznie mówicie — przytaknął Mateja — Zboże najważniejsze.

Paw miał na drugi dzień wieźć zboże do spółdzielni, ale teraz postanowił, że nie powiezie.

— I szwagrowi też doradzę, żeby nie wiózł — pomyślał.

— Coraz gorzej się robi na tym świecie — ciągnął dalej Kudryński — Nie było to jak przed wojną. Wszystkiego było dość. Co człowiek chciał to kupił, a teraz co? Ledwie przywiozą do spółdzielni jakie towary to ludzie rozdrapią i nie ma nic...

— No tak, przed wojną było towarów dość, tylko nie było za co kupować — pomyślał Chudoba.

— I z każdym dniem coraz gorzej się dzieje, coraz gorzej nas gnębią... — mówił dalej Kudryński.

— To prawda, że was gnębią — przyznawał w duchu Chudoba — ale nas nie. Nam jest jednak coraz lepiej.

Chudoba — półanalfabeta, więc gazet nie czytał. Tyle tylko że czasem córka przeczytała na głos „Gromadę". Ale przeżył ciężkie życie i pamiętał dobrze te wychwalane przez Kudryńskiego czasy przedwojenne. Chodził bez pracy i za szczęście sobie poczytywał jak mógł sezonowo wynająć się z żoną na pańskie za osiemdziesiąt groszy dziennie. Dla niego było teraz nie gorzej, a z dniem każdym coraz lepiej. Gdy słyszał pierwszy raz o tej wspólnocie, to mu sie to nawet dosyć podobało i nie miał nic przeciw wstąpieniu. Ale gdy zaczął o tem mówić do żony a ta zrobiła mu piekło, dla świętego spokoju wolał się wycofać.

Antczak tymczasem był pogrążony w swoim zmartwieniu. Kudryński znał jego słabość, wiedział jak mu nastąpić na odciski. Uderzenie było trafne. Ale Kudryński nie dał mu się długo namyślać.

— No jak, Józek, robimy handel czy nie?

— A ilebyście dali? — wyrwało się Antczakowi..

— Ile... ano jak dla ciebie tysiąc trzysta mogę zapłacić. Innemu bym tyle nie dał. Teraz konie tanie.

— Ile? Tysiąc trzysta? Kierownik z PGR-u mówił że jakbym chciał sprzedać, to dwa tysiące dostanę.

— To było dawno. Teraz konie za bezcen można kupić.

— Nie sprzedam.

— Jak sobie chcesz. Ja nie namawiam. A co do zboża to wam radzę z drogiej duszy. Lepiej niech zostanie, jakby miało braknąć. Jak pieniędzy potrzeba to lepiej gadzinę sprzedać. A gdyby którego tak przyparło bez pieniędzy, to i ja — choć wiele nie mam — mogę parę złotych pożyczyć — zwrócił się Kudryński do chłopów, zabierając się do wyjścia.

III

KTO WINIEN?

Kierownik Delegatury Państwowych Zakładów Zbożowych codziennie meldował do komitetu powiatowego, że skup zboża nie przebiega w myśl planu, że podaż zboża w spółdzielniach gminnych z dniem każdym coraz mniejsza. Aż spadła do dziesięciu ton dziennie zamiast zaplanowanych stu dwudziestu.

Najgorzej sprawa skupu zboża przedstawiała się w gminie Łubniów. W gminie tej już od kilku tygodni nie skupiono ani kwintala zboża.

— Tam trzeba szukać źródła zła — pomyślał sekretarz Komitetu Powiatowego, towarzysz Michalski, siedząc zamyślony za biurkiem.

W tej chwili weszła do gabinetu sekretarka — przyszedł sekretarz gromadzkiej organizacji partyjnej z Miłowic i chce rozmawiać z pierwszym sekretarzem Komitetu Powiatowego.

— Proście go tu, proście.

— A to mi się zjawiacie w samą porę — rzekł podając rękę Dukale — Siadajcie towarzyszu, powiedzcie, co słychać w gromadzie?

— A źle słychać.

I Dukała opowiedział o wszystkim, co się działo w ciągu ostatnich kilku miesięcy w Miłowicach.

...I teraz ludzie tak się zacięli, że nawet do nich nie podchodź. Nawet ci, co już poprzednio byli przekonani, obecnie zaczynają się wahać — kończył Dukała swą opowieść.

— A kto tam u was najwięcej szkodzi?

— Ba, żeby to wiedzieć kto szkodzi? Kobiety pyskują, zebranie rozbiły. Ale przecież jasne jest, że one tak od siebie nie robią, tylko je ktoś musi nastawiać. Ale kto? — tu opowiedział Michalskiemu o żonie Więcka.

— A przecież była przekonana do spółdzielni. Teraz ją ktoś zbuntował i chłopu życie obrzydza...

— A ten Więcek to kto taki? Bo mnie tu donieśli, że w Miłowicach jakiś Więcek organizuje spółdzielnię, ale, że to najgorszy we wsi gospodarz i dlatego ludzie nie chcą iść do tej spółdzielni. Podobno gospodarkę zmarnował. Konie wyprzedał, tylko kozy hoduje...

— Nie wierzcie, towarzyszu sekretarzu, nie wierzcie. Więcek, prawda, konie sprzedał, ale za te konie kupił sobie dwie krowy. Najwięcej mleka do mleczarni odstawia. Mówi, że mu się lepiej krowy opłaca chować niż konie. I ja mu wierzę. Sześć świń zakontraktował. Że kozy chowa to przecież ni zbrodnia. Mówi, że w czasie okupacji tak się przyzwyczaił do



kawy z kozim mlekiem, że i teraz nie chce innej pijać. Niech mu będzie na zdrowie. Ale to dobry gospodarz, tylko, że pierwszy do spółdzielni się zdeklarował, więc go chcą ośmieszyć.

— No dobrze, towarzyszu Dukała. Ja sam przyjadę do was. Słyszę, że tam u was i z planowym skupem zboża coś nie bardzo dobrze — planu nie wykonujecie.

— To się wszystko ze sobą wiąże — odpowiedział Dukała, wstając. Przyjedziecie, to się przekonacie na miejscu.

Po wyjściu Dukały Michalski zwrócił się do kierownika Wydziału Organizacyjnego, towarzysza Młyńskiego.

— Proszę was, przyślijcie mi tu przydzielonego na gminę Łubniów towarzysza Karbowskiego. Chcę z nim pogadać. Ale jeszcze zanim przyjdzie, pozwólcie z Wydziału Kadr jego akty personalne.

Po pewnym czasie Karbowski wszedł do gabinetu Michalskiego.

— Siadajcie, towarzyszu Karbowski — rzekł sekretarz, wskazując mu krzesło — powiedzcie mi jak tam idzie wasza praca w Miłowicach?

— Ano pomału idzie — odparł Karbowski, rumieniąc się pod bystrym spojrzeniem Michalskiego — Już mam kilku chętnych. Ale wiecie, że to dość trudno w tak krótkim czasie coś zrobić. Wieś reakcyjna, zakułaczona. Ale już ja sobie z nimi dam radę — mówił z nutą pogróżki w głosie.

— A jak tam organizacja partyjna pracuje?

— Organizacja?... No, pracuje...

— Ilu liczy członków?

— Zdaje się dwunastu.

— Jak to zdaje się — przecież robiliście zebranie partyjne?

— Nie miałem jeszcze czasu, ale teraz zrobię — zapewniał skwapliwie Karbowski, mieszając się coraz bardziej.

— To przystępujecie do organizowania spółdzielni produkcyjnej bez uprzednich zebrań partyjnych? Więc od czego wy zaczynacie?

— Od gromadzkiego zebrania. A jakże inaczej? Chłopów trzeba zaraz z góry brać, bo w przeciwnym razie nic się z nimi nie zrobi.

— Aha, z góry — powtórzył w zamyśleniu Michalski — No, a jak tam skup zboża?

— Skup zboża?... Nie interesowałem się tym — odpowiedział przeciągle Karbowski — Ale teraz, jak pojadę, to mogę się zainteresować.

— Aha. No i co możecie jeszcze powiedzieć o tej wsi i ludziach tamtejszych?

— Tam ja widzę tylko dwóch ludzi na poziomie — Kozerę i Wiślaka.

— Kozera? zdaje się że tak się nazywał dawny sekretarz komitetu gminnego, który został wykluczony z Partii. Czy to ten?

— Ten. Ale moim zdaniem niesłusznie z nim postąpili...

— No i kto tam jeszcze jest, prócz tych dwóch? Szczególnie idzie mi o członków partii.

— Jest jeszcze Grochulski. Dobry gospodarz. Trzeba nad nim popracować, to myślę, że do spółdzielni wstąpi. Jest sołtys, też dość możliwy chłop, tylko babę ma jędzę, która najwięcej szkodzi...

— A sekretarz organizacji partyjnej?

— Dukała? To człowiek niezaradny i słaby organizator. Nie ma co na niego liczyć.

— A co możecie powiedzieć o tamtejszych kułakach?

— Typowych kułaków tam nie ma. Jest wprawdzie kilku lepszych gospodarzy, jak na przykład Wilkowski, ale oni nie szkodzą. Trudniej natomiast poradzić sobie z biedotą. Szczególnie jest tam kilka wdów, które najwięcej pyskują i trzeba je jakoś uspokoić.

Michalski słuchał Karbowskiego, uważnie obserwując jego twarz.

— No dobrze. Dziękuję wam towarzyszu — rzekł, gdy Karbowski skoczył — A teraz tak na marginesie powiedzcie mi — bo się jeszcze nie znamy — czym się zajmował wasz ojciec?

— Ojciec? Był urzędnikiem.

— A wy? Co robiliście przed wojną?

— W wojsku służyłem.

— Zawodowy?... W jakiej randze?

— Tak. W randze sierżanta.

— No to wszystko, co chciałem wiedzieć. Wy, towarzyszu, więcej nie pojedziecie do Miłowic. Ja tam pojadę sam — skończył rozmowę Michalski.

IV

JAŚNIEJ W MYŚLACH

— Proszę o głos — zawołała, przerywając ciszę jaka zapanowała na sali po przemówieniu Michalskiego.

— Mówcie Małecka — skinął na nią sołtys.

— Jo sprzedom jesce dwa metry — rzekła twardo.

Ale nagle złość ją porwała. Jak to, to ona sprzedaje, choć naprawdę miała kiepskie urodzaje, bo Wilkowski jej późno koni pożyczył, a on, co nawiózł tyle pięknego zboża, będzie go gnoił?

— Jo jestem tylko z dziećmi na gospodarce, bez chłopa. Ni mam kunia i ni ma mi kto na czas pola zaorać i obsiać. Sprzedałam państwu już dziesięć metrów, tyle co miałam sprzedać wedle planu. Teraz sprzedam jeszcze te dwa metry. Ale inni powinni nie po dwa metry, a po dwie tony sprzedać i więcej — Wilkowski na przykład ma zboża dość. Urodzaje miał najładniejsze we wsi i on powinien co najmniej dwie tony sprzedać. Skończyłam — rzekła siadając z rozmachem.

— To nieprawda — zawołał z kąta Wilkowski — ja zboża nie mam. Co miałem na zbyt, to już sprzedałem.

— Ano proszę, pozwólcie tu bliżej obywatelu — odezwał się do niego delegat Michalski. — Chodźcie obywatelu, chodźcie. Zaraz zobaczymy.

A gdy Wilkowski ociągając się podszedł do stołu, Michalski zapytał:

— Ile posiadacie pola?

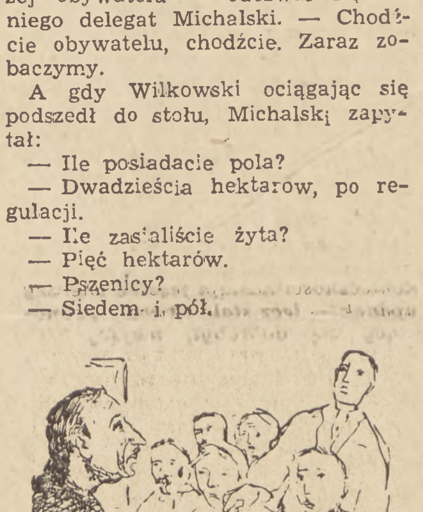
— Dwadzieścia hektarów, po regulacji.

— Ile zasialiście żyta?

— Pięć hektarów.

— Pszenicy?

— Siedem i pół.



— Owsa?

— Trzy hektary.

— Jęczmienia?

— Półtora hektara.

— Ile zebraliście żyta? Tylko mówcie bez wykrętów, bo stoicie przed gromadą. Gromady nie okłamiecie.

— Żyto się kiepsko urodziło. Same chwasty...

— Ale ile?

— Więcej nie, jak trzydzieści pięć metrów.

— Pszenicy?

— Siedemdziesiąt metrów.

— Owsa?

— Też ze trzydzieści...

— Jęczmienia?

— Tak może dwadzieścia metrów.

— A teraz powiedzcie, ile wysialiście w jesieni? — pytał dalej Michalski, notując w zeszycie odpowiedzi Wilkowskiego.

— Dwadzieścia dwa metry.

— Ile zmełliście we młynie?

— Czy ja wiem? Może ze dwadzieścia metrów.

— Ile spaśliście inwentarzem?

— Niedużo, może piętnaście metrów.

— Ile wam jeszcze potrzeba na wyżywienie?

— Jakie pięć metrów jeszcze potrzeba.

— A do siewu na wiosnę?

— Też z dziesięć metrów.

— Dla inwentarza ile?

— Co najmniej dziesięć metrów jeszcze.

— Państwu ileście sprzedali?

— Dwadzieścia metrów.

— A plan jaki mieliście?

— Cztery tony. Ale to plan nie realny. Tyle nie mogę sprzedać.

— A ile jeszcze możecie?

— Co mogłem, to sprzedałem. Więcej nie mam.

— Zaraz obliczymy — rzekł Michalski, zliczając notowane cyfry.

— Razem zebraliście sto pięćdziesiąt pięć metrów zboża. Z tego rozchodowaliście na zasiew, wyżywienie rodziny i inwentarza oraz zostawiliście na zasiew wiosenny i wyżywienie osiemdziesiąt dwa metry. Państwu sprzedaliście dwadzieścia metrów, a gdzie reszta?

— Jaka reszta? Ja więcej nie mam.

— Widzicie, obywatele — zwrócił się Michalski do zebranych — sami byliście świadkami, jak ten obywatel tu przed wami obliczał się ze swej gospodarki. Na pewno podawał plony niższe, niż rzeczywiście zebrał. A mimo to z jego własnego obliczenia wyszło czarne na białym, że posiada jeszcze pięćdziesiąt trzy metry zboża ponad to, co mu potrzeba do nowego.

— Na sali zrobił się szmer. Chłopi z pierwszych ławek zaczęli ponuro spoglądać na Wilkowskiego.

— Wy, obywatelu, skąd jesteście rodem? — pytał dalej Michalski.

— Od Żółkwi.

— No tośmy krajany. Pytam, bo coś mi twarz znajoma. Wy jesteście z tych Wilkowskich, co mieszkali tam pod lasem?

— Tak.

— Byliście wójtem przed wojną?

— Tak.

— No, widzicie, jak ja was znam.

— Obywatele! — zwrócił się Michalski znów do zebranych — Ja Wilkowskiego znam od dawna. A skąd go znam, spytacie? Znam go, bo służyłem u jego brata kiedyś za pastucha. Oj to byli wyzyskiwacze. Wilkowski i teraz stara się nie sprzeniewierzyć tradycji — wyzyskuje was. Zboże chowa, marzy o nowej wojnie i pragnie was jeszcze długo wyzyskiwać. No Wilkowski — zwrócił się Michalski do przestępującego z nogi na nogę kułaka — wracajcie do domu, a jutro odwieźcie zboże do spółdzielni.

Wilkowski próbował jeszcze oponować. Ale widząc drwiące spojrzenia takich „dziadów" jak Chudoba, Ambroziak, a nawet Fordońska — nie licząc już tej jędzy Małeckiej — którzy siedzieli w pierwszych ławkach, jak jacy hrabiowie, umilkł i jak niepyszny powlókł się do kąta.

Przechodząc koło Małeckiej obrzucił ją tak nienawistnym spojrzeniem, że aż się cała zatrzęsła. Strach ją ogarnął. Nagle zdała sobie sprawę, że wszelkie stosunki z Wilkowskim są zerwane, że od niego więcej na pomoc liczyć nie może.

— Co ja też najlepszego zrobiłam — pomyślała ze strachem — a dyć on mi już więcej koni nie pożyczy. Jeszcze i innych bogaczy odmówi.

Myśl ta pochłonęła ją zupełnie. Nawet nie słyszała, o czym mówiono dalej na zebraniu. Gorączkowo szukała wyjścia z trudnej sytuacji. Bo to wiosna się już zbliża i o robotach w polu czas było pomyśleć. Przypomniała sobie wszystkich gospodarzy, jacy mieli konie. Zastanawiała się do którego z nich mogłaby się zwrócić.

— Grochulski na pewno nie pożyczy — myślała — Kozera jest kumotrem Wilkowskiego Antczak ma młodego źrebaka i nie zechce go przeciążać.

— Im dłużej myślała, tym bardziej nie mogła znaleźć wyjścia. Właściciele koni w taki lub inny sposób byli uzależnieni albo spowinowaceni z Wilkowskim.

Nagle przypomniała sobie rozmowę z Dukałą. Przecież on jeszcze w zeszłym roku jej mówił, że jest taka ustawa o pomocy sąsiedzkiej i że Wilkowski czy chce czy nie chce to jej musi koni pożyczyć. A ona mu za to zapłaci ustaloną cenę. Ucieszyła się.

— A to dobrze — pomyślała — więc nie jestem uzależniona od niego. A to dopiero będzie wściekły, jak musi do mnie do roboty przyjechać...

— Już się cieszyła wyobrażając sobie wściekłość Wilkowskiego, gdy znowu inna myśl zaczęła jej napływać do głowy.

— A może by tak zapisać się do tej wspólnoty, przecież tam maszynami orać będą. Nie muszę się sama o wszystko kłopotać. Ten Wilkowski teraz jak pójdzie na udry, to kto wie, jak mi zaorze...

Aż się przestraszyła tej myśli, chciałaby się otrząsnąć od niej. Ale nie sposób było. Uparta myśl powracała ze zdwojoną siłą Zaczęła sobie przypominać wszystko, co kiedykolwiek słyszała o spółdzielni produkcyjnej. I nagle zrozumiała, że najwięcej złych rzeczy o spółdzielni słyszała właśnie od Wilkowskiej. To przecież nie kto inny, jak właśnie Wilkowska, była organizatorką wystąpienia kobiet na pamiętnym zebraniu.

— Ale to dopiero sprytna. Nie, zapisujcie się do spółdzielni, bo przecież skończą się czasy wyzysku dla pana Wilkowskiego — prawie wyszeptała Małecka.

I nagle niepowstrzymaną falą zaczęły do głowy napływać wspomnienia. Z całą wyrazistością stawały jej przed oczyma wszystkie prace, które wykonywała u Wilkowskich. Sadzenie ziemniaków i buraków. Plewienie i żniwa. Wykopki i młócka w jesieni. A ileż to razy musiała w zimie zachodzić do nich, czy to podłogę umyć, czy uprać. Pod wpływem wspomnień wydawało jej się, że jeszcze odczuwa ból w krzyżach od ciągłego schylania się, przy kopaniu, czy wiązaniu snopów. Aż pot wystąpił na czoło od tych myśli.

Aniela Mariańska

DANUTA BRZOZOWSKA

O DYGASIŃSKIM I BRAZYLIJSKIEJ EMIGRACJI



W końcu roku 1890 ziemie polskie stały się widownią specyficznego zjawiska; przeszła przez nie, w ścisłej zależności od światowych, społeczno-politycznych wydarzeń, t.zw. gorączka emigracyjna. Biedni chłopi, a częściowo i rzemieślnicy zaczęli w nienotowanej dotychczas liczbie opuszczać kraj w poszukiwaniu gruntu i pracy. Nie były to już coroczne wypady „na saksy"; ludzie kierowali się aż do Brazylii z zamiarem urządzenia tam sobie nowego życia, porzucenia na zawsze starego kraju swej nędzy. Nagminność wyjazdów zaskoczyła wszystkich. Zaalarmowana prasa warszawska deleguje Adolfa Dygasińskiego do dokładnego zbadania spraw emigranckich; zleca mu w tym celu podróż trasą wychodźców aż na drugą półkulę. Tak więc dnia 28 października w Toruniu wsiada pisarz wraz z partią wyjeżdżających chłopów do wagonu czwartej klasy pociągu bremeńskiego, by w Bremie, wciąż z emigrantami, załadować się na okręt płynący do Rio de Janeiro.

Pierwszy raz bodaj zamiłowany krajoznawca, etnograf i przyrodnik wyrusza nie w celach przyjemnościowo-turystycznych, ale — według własnych słów — „jako obywatel kraju swego". Wyprawa miała zdecydowany charakter społecznej misji: chodziło nie tylko o ujarzmienie i opisanie warunków emigracji chłopskiej, ale także o możliwe zapobieżenie ruchowi wychodźczemu.

Najszlachetniejsze niewątpliwie pobudki kierowały Dygasińskim, gdy godził się na tę podróż. Jechał przejęty serdeczną troską o los ludzi, którzy zwiedzeni kłamliwymi obietnicami puszczali się za ocean i którym groziła może nędza i poniewierka; z drugiej strony ubolewał nad faktem, że naród pozbywał się najcenniejszego, najbardziej rzutkiego i śmiałego odłamu mas ludowych. A przy tym pisarz jechał zupełnie osamotniony, bez żadnych stosunków czy znajomości, niemal że bez środków materialnych, i z własnej woli podróżował w najgorszych warunkach, by tylko ujrzeć istotną prawdę i uczciwie z niej zdać relację. W Brazylii zaś dosłownie narażał swe życie, bo rząd tamtejszy, bojąc się rozpowszechniania niewygodnych wieści o emigracji, zamierzał już radykalnie pozbyć się intruza.

Oceniwszy jednak cały wkład dobrej woli pisarza, zaznaczmy, że w obiektywnym rachunku sprawa tej podróży Dygasińskiego może wyglądać nieco inaczej, ponieważ występował on tam jako emisariusz kół, które przeciwstawiały się emigracji chłopskiej z pobudek bynajmniej nie idealnych. W swej powieści „Na złamanie karku" Dygasiński opisuje, jak to za sprawą brazylijskiej ulotki ogarnęła chłopów gorączka emigracyjna, a nie ulegli jej tylko nieliczni, rozważniejsi i trzeźwiej patrzący. Cóż wpływa na decyzję większości? Oto fakt, że zarówno proboszcz i dwór jak najbardziej odradzali podróż do „Bryzolii". —„Skoro tylko dwór odradza—kombinuje najinteligentniejszy z parobków Wicek Strzała — to już trzeba robić przeciwnie, bo oni tam wszyscy radzą zawsze na szkodę chłopską i na swój własny użytek. Co będzie, to będzie, a do Bryzolii pojadę". — Ten passus, mający być w zamierzeniu autora krytyką, tylekroć opłakanej krokodylowymi łzami burżuazji „nieufności chłopskiej", mimowoli trafia w sedno. Rzecz jasna, że właściciele ziemscy „radzili na swój własny użytek", że z całej siły sprzeciwiali się wychodźctwu, bo zmniejszało ono rezerwową armię roboczą pozwalającą na ciągłe zniżanie płac. Z tych samych powodów obawiał się emigracji również kapitał miejski. Prasa burżuazyjna natychmiast rozpoczęła wielką akcję propagandową, obrazującą emigracyjne piekło, a tragizm chłopski tkwił w tym, że zarzuty, tyczące warunków życiowych sprowadzanych za ocean Polaków, były aż nadto prawdziwe. Sytuacja wymagała jednak natychmiastowego dostarczenia społeczeństwu ścisłych dowodów przeciw wychodźctwu, pod postacią relacji naocznego świadka.

Szanowny, konserwatywny Kurier Warszawski, mający pretensję do kierowania „dobrze myślącą" burżuazyjną opinią publiczną Królestwa, wziął na siebie tę misję. Redaktor Olszewski w gorączkowym pośpiechu szuka przebywającego właśnie na wsi Dygasińskiego. Natychmiast w czasie nocnej rozmowy każe mu się decydować na podróż, od razu też zresztą precyzując, o co rzecz idzie: „A czybyś pan nie pojechał do Brazylii, nie sprawdził, co też za podstawę mają obietnice ajentów, którzy chłopom przewracają w głowie?" A więc, choć pisarz ma dopiero **sprawdzić,** to z góry już wiadomo, że ukazując nadzieję lepszego życia **przewraca się** chłopom w głowie! Relacja człowieka o znanej i wypróbowanej uczciwości służyć miała za pokrywkę interesów burżuazji. Egoizm klasowy, jaki przejawiały w całej tej sprawie warstwy posiadające, najdobitniej wyszedł na jaw nieco później, gdy emigracja została już mniej więcej zbadana i opisana nie tylko przez Dygasińskiego, ale i przez wielu innych podróżników. Wyruszył mianowicie do Brazylii ksiądz Chełmicki, jeden z filarów czarnosecińskiej, procarskiej reakcji klerykalnej, który nota bene w swych pismach odsądził emigrantów od czci i wiary, twierdząc, że rekrutowali się głównie z mętów i wyrzutków społeczeństwa. Misja ks. Chełmickiego miała na celu sprowadzenie na powrót do kraju kilkuset wychodźców. Burżuazja dawała pieniądze nie na to, by przynieść istotną pomoc ludziom, ale by szerzyć skuteczną propagandę antyemigracyjną przez powracających zza oceanu chłopów. Bo dla tych, którzy pozostawali w fatalnych warunkach w Brazylii i marli jak muchy z febry i nieodpowiedniego wyżywienia, jakoś nie znalazły się fundusze.

Dygasiński rozpoczął swą brazylijską podróż z poczuciem, że spełnia „obywatelskie zadanie". Jak słusznie zauważono, jechał ze zgóry ustalonym mniemaniem, że emigracja jest rzeczą z istoty swej zgubną, a przy tym ciężko chłopów obciążającą. „Moi ludzie, uciekać z kraju zawsze jest brzydko"— poucza mieszkańców jakiegoś hotelu emigranckiego. Winę chłopską potwierdza przecież i wtedy, gdy apeluje do społeczeństwa o przebaczenie dla wychodźców, z uwagi na ogrom nieszczęść, przez który ludzie ci przeszli, a także na ich małe uświadomienie i ciemnotę. Zasugerowany pisarzowi przez burżuazyjnych mocodawców pogląd na kwestię emigracji każe szukać mu jej źródła w „psychologii człowieka, który na ziemi pragnie znaleźć dla siebie niebo".

„Zapewne — pisze w Listach Dygasiński — że najenergiczniejsi z pomiędzy wychodźców, jeśli już wszystko przeżyją, przeniosą, dojdą w Brazylii do jakiego takiego bytu, ale — dodaje natychmiast — w kraju swoim przy mniejszych nawet usiłowaniach osiągnęliby to samo". Aż dziw bierze, że słowa te pochodzą od pisarza, który w swych utworach objawiał nieprzeciętną ostrość widzenia w sprawach biedoty chłopskiej, który jak nikt inny pokazywał ślepy zaułek do jakiego zdążała wieś popańszczyźniana coraz bardziej rozdrabniająca swe parcele. Nacisk ideologiczny burżuazji sprawił, że Dygasiński zapomniał o losie swoich własnych chłopskich bohaterów, których przecież dostarczyła mu obserwacja życia; zapomniał o strasznej nędzy komornika Domagały i o beznadziejnej wegetacji Franka Dętki, żyjącego z ośmioosobową rodziną na dwumorgowym gospdarstwie. Bardzo usłużny w tym wypadku naturalizm podsunął pisarzowi koncepcję chłopstwa, jako biologicznego gatunku, mogącego wyżyć tylko w swych przyrodzonych, naturalnych warunkach: chłop „w ziemię swoją wrósł jak drzewo i z tej ziemi wyrwany, musi cierpieć". Zarówno w „Listach z Brazylii", jak emigracyjnej powieści „Na złamanie karku", Dygasiński ogromny nacisk kładzie na motyw chłopskiej tęsknoty za krajem, która nie pozwala się Polakom aklimatyzować na drugiej półkuli. Rozpaczliwe okrzyki ludzi przerażonych nowością warunków, zniechęconych i zawiedzionych w swych brazylijskich nadziejach, cytuje jako dowód, że polski rolnik tylko w kraju może egzystować. „Całe życie będę się darmo wysługiwał, będę żył o chlebie i o wodzie, a niech do Polski wrócę!" — wołają ci chłopci, którzy jednak wedle własnych słów pisarza, przez całą drogę nie zatęsknili ani przez chwilę do kraju i oświadczali, że wracać nie mieliby już wcale po co. Mimo to argumentem powyższym szermuje Dygasiński również w broszurce „Czy jechać do Brazylii", popularnym wydawnictwie przeznaczonym dla wsi. Charakterystyczne jest również, że w swoich licznych relacjach o emigracji — bo pisał na ten temat dużo, sumiennie spełniając „obywatelskie zadanie" — pomijał zupełnie sprawę starych polskich kolonii w Paranie, które osiągnęły już wtedy pewien stopień dobrobytu. Będąc w Brazylii, w ogóle tam nie pojechał. Zarzucał to pisarzomi szczególnie Jan Ludwik Popławski, stojący na czele „Głosu", jedynego pisma, które trwając widać jeszcze na swym „antypańskim" stanowisku, potrafiło ocenić emigrację w sposób względnie bezstronny.

Publicyści z grupy Popławskiego zbyt jednak beztrosko przechodzili nad ogromnymi ofiarami, które z winy rządu brazylijskiego i prywatnych kombinatorów ponosić musiał chłop polski — ma tutaj nad nimi Dygasiński bezwzględną przewagę. I najcenniejszą cząstką jego pisarstwa o tematyce emigracyjnej pozostanie protest przeciw niezasłużonemu cierpieniu, przeciw upodleniu człowieka i spychaniu go do roli towaru czy bydła roboczego. W tym miejscu wykracza Dygasiński poza program zakreślony mu przez inicjatorów brazylijskiej wyprawy, nawet staje z nim w sprzeczności. Burżuazji, która walczyła o taniego robotnika, nie musiało chodzić o wywalczenie dla niego praw ludzkich. Odstraszać od wyjazdu — to jedno, co było potrzebne.

Samo poznanie ówczesnych prywatnych korespondencji pisarza wskazuje, że nie zawsze była zgoda między jego rzeczywistymi myślami a tym, co narzucono mu jako pojęcie „obywatelskiego obowiązku". Listy — kierowane głównie do przyjaciół, Sygietyńskiego i Witkiewicza — zawierają niejednokrotnie poglądy, których Dygasiński nigdy nie pozwalał sobie zamieszczać w oficjalnych i przeznaczonych do druku i rozpowszechniania pismach. Po ponurych obrazach bezradności emigranckiej, dominujących w reportażach dziennikarskich, czy utworach beletrystycznych zaskakuje zawarty w korespondencji do Sygietyńskiego pełen optymizmu akcent wiary w chłopa, zachwyt dla jego animuszu i energii, gdy tak rzucał się z niczym na najśmielsze przedsięwzięcia. W innym miejscu (list do Witkiewicza) Dygasiński posuwa się do gorzkiej apostrofy: „Zalewajmy Brazylię, skoro w stosunkałh europejskich wypłynąć na wierzch nie można!"

Najważniejsze zaś, że pisarz, choć w większości wypadków — jak wynikało z jego roli — ostatecznie szedł na rękę rodzimym kapitalistom — to jednak cel swej podróży rozumiał zgoła inaczej. Formułował go w liście do żony: „Pragnę zaprotestować publicznie przeciw sprawom, które się wloką przez całą ludzkość, którą się okuwa w kajdany w imię handlu kawą, bawełną, cukrem itd.". Przed oczyma Dygasińskiego rozgrywał się jeden z aktów ogólnego procesu epoki: zamiana dawnych, prymitywnych form wyzysku na formy nowe, choć niemniej brutalne i bezwzględne, związane z formacją kapitalistyczną.

Brazylia w roku 1888 zniosła u siebie niewolnictwo. Uwolnieni murzyni najczęściej porzucali pracę, a właściciele plantacji kawy i trzciny cukrowej, pozbawieni robotnika, znaleźli się w bardzo trudnej sytuacji. Niezbędnym się stał dopływ rąk ludzkich do Brazylii, tym bardziej, że wobec małej powierzchni ziemi ornej, ogromne połacie puszcz pilnie domagały się kolonizatorów. W roku 1890 wszczęto kroki radykalne. Rząd brazylijski zawarł umowę z niejakim Joachimem Caestano Pinto na dostarczenie 100 tysięcy emigrantów, za wynagrodzeniem stu kilkudziesięciu franków od głowy. Z drugiej strony wściekłą akcję propagandową rozpoczął generalny konsul brazylijski w Lizbonie, Santos, który zyskał smutną sławę jako główny sprawca wielu tragedii emigracyjnych. Masowo kolportowane ulotki, obiecujące chłopom i robotnikom złote góry, o ile tylko zdecydują się na wyjazd oraz działalność licznych ajentów i naganiaczy opowiadających bajki o ziemi obiecanej — wszystko to było organizowane przez Santosa. Dzielnie mu sekundowały towarzystwa okrętowe niemieckie, które swój główny rozkwit miały zawdzięczać właśnie emigrantom. Zaczęło się istne polowanie na ludzi. Ziemie polskie, jako pozbawione własnego rządu, który jedynie mógłby w sposób skuteczny przeciwdziałać nagonce, były terenem szczególnie podatnym do agitacji. Tutaj też skierowane były główne wysiłki agentów. Nie może dziwić, że bezrolny nędzarz, komornik czy parobek dworski, któremu ukazano perspektywę wielowłókowego gospodarstwa, rzucał wszystko i na oślep pędził na drugą półkulę. Nie czynił żadnych przygotowań. Po co? Podróż i wikt obiecano mu bezpłatnie, a w Brazylii otrzyma wszystko, co potrzebne do dostatecznego życia. Naganiacze, opłaceni od każdego dostarczonego emigranta, pchali ludzi masami w kierunku niemieckich portów — głównie Bremy — nie troszcząc się, rzecz jasna, czy będzie tam możliwość zakwaterowania i wyżywienia dla tak wielkich tłumów wychodźców. Od razu też w Bremie zaczyna się gehena polskich chłopów. Dygasiński opisuje w swoich korespondencjach jeden z takich emigranckich „hoteli", znajdujący się w budynku starego dworca, gdzie mrowie ludzi śpi pokotem na ziemi w śmieciach i błocie. Gratisowy wikt w wielu wypadkach okazał się fikcją — chłopi wydają ostatnie grosze, a przy tym, jako nie znający języka i stosunków, są niemiłosiernie wyzyskiwani przez różnych kupców i właścicieli oberży. Nielepiej przedstawiała się sama trzytygodniowa podróż statkiem. Najgorsze jednak było rozczarowanie, które czekało emigrantów w Brazylii. Przede wszystkim nic nie zostało przygotowane na ich przyjazd — rząd z idealną beztroską ściągał tysiące ludzi nie mając dla nich ani pomieszczeń ani wyznaczonych gruntów. Kazano im miesiącami czekać na odmierzanie parceli, w warunkach, o których pisał Dygasiński, że „psy u nas w daleko lepszych budach sypiają". Warto zacytować parę szczegółów na ten temat: „Com tutaj widział i słyszał, przechodzi wszelkie pojęcie, jakie mieć można o ludzkiej nędzy. Stoi tam budynek, który nazajutrz i drugi raz z powrotem za dnia oglądałem: rudera czarna, pełna gnoju, w którym się poniewierają rodziny wychodźców; obrzydliwa woń bije z daleka, a przy wejściu wstręt cię ogarnia. Oprócz owego budynku znajdują się tu jeszcze budy z gałęzi, gdzie mieszkają tacy którzy już żadną miarą w budynku zmieścić się nie mogli. Posłanie z przegniłych liści drzew, ogniska przed budą" itd., itd.

Burżuazyjny rząd brazylijski chełpił się, że udziela wszystkim swoim obywatelom zupełnej wolności, a emigrant ma prawo osiedlić się wszędzie, gdzie mu się tylko podoba. Ta wolność miała oczywiście nieoszacowaną wagę dla chłopa, któremu nikt nie udzielił najmniejszych informacji o warunkach terenowych Brazylii, i który kierował się do stanu Świętej Katarzyny, ponieważ „tam musi być dobrze, kiej taka porządna patronka jest nad ziemią".

Chłop, po odmierzeniu mu w końcu ziemi, stawał do walki z puszczą zupełnie sam, bez żadnej ochrony czy pomocy, mimo wszelkich obietnic rządu, na które liczył, wyjeżdżając z kraju. Dano mu najprymitywniejsze narzędzia: topór, rydel i gracę, i — radź sobie, jak umiesz. Przyznana emigrantom zapomoga na budowę domu często gęsto wcale nie nadchodziła. Nie pomyślano ani o dostawach żywności dla ciężko pracujących ludzi, ani o odzieży, ani o opiece lekarskiej, w ogóle o niczym. Emigranci, zupełnie bezbronni wobec groźnej przyrody brazylijskiej, żyjący w nieprawdopodobnych warunkach sanitarnych, ginęli masami. Tylko najsilniejsi, czy też obdarzeni największym szczęściem zdołali przetrwać, by po paru latach poniewierki i pracy nad siły dochrapać się wreszcie kawałka ziemi ornej. Chłopi, którzy dali za wygraną i porzucili ziemię, szli na wędrówkę po portach, miastach i osadach, szukając miejsca, gdzie „dla Polaków jest dobrze". Dygasiński widział całe gromady tych biedaków, boso i w łachmanach, przemierzających ogromne przestrzenie Brazylii, jeżdżących we wszystkich kierunkach statkami żeglugi morskiej i rzecznej, czy gnieżdżących się w obskurnych emigranckich hotelach, wszędzie popychanych i traktowanych jak bydło. W końcu szli tam, gdzie czekano już na nich od dawna i skąd z tajonym zadowoleniem obserwowano ich niepowodzenia kolonizatorskie — na plantacje kawy, trzciny i tytoniu. Nowi niewolnicy zastępowali starych. Nie darmo większość biwaków emigranckich umieszczano na wyspie Flores, miejscu, w którym dawniej odbywały się targi na murzynów. Ten fakt ma niemal wagę symbolu.

O robotnikach plantacyjnych mało pisze Dygasiński, ponieważ ze sprawą tą nie był dobrze obeznany. Ale, asystując w czasie wypłaty Polakom, pracującym przy budowie rządowych dróg, mógł poznać typową dolę robotnika brazylijskiego. Pozornie wysoka cyfra zarobków, przy niesłychanej drożyźnie produktów, nawet na wyżywienie nie wystarczała. Chłop cały miesiąc żył na kredyt, zaopatrując się u miejscowego oberżysty, który, jako jeden przeważnie w okolicy, dyktował warunki i obdzierał emigrantów bez litości. Dygasiński opisywał, jak oberżysta przychodził na miejsce wypłat i cały zarobek pracowniczy zabierał od razu z ręki urzędnika, twierdząc, że egzekwuje swoją należność. Chłop odchodził z kwitkiem, złorzeczący ale bezradny. Protesty nic nie pomagały: oberżysta, tłumacze i urzędnik stanowili zgraną kompanię, która solidarnie się wspomagała w dziele wyzysku robotnika.

„Brazylia ma prawa?!" zapytywał ironicznie pisarz gazety brazylijskie i brazylijskich konsulów szermujących tym frazesem. Oglądany system nadużyć i tragiczny los oszukanych chłopów nauczył Dygasińskiego wiele i nigdy może nie był on tak bliski zrozumienia praw ustroju, w którym żył. Za dowód niech posłużą słowa, które umieścił w zakończeniu swych „Listów" z Brazylii": „tylko formy są cokolwiek inne, rzecz zostaje ta sama. Chłop nasz, zwabiony tutaj nadzwyczajnymi obietnicami... jest to niewolnik, który ostatecznie, jeśli nie zginie, pójdzie w służbę plantatorów i zastąpi wyzwolonego murzyna. Tylko formy się zmieniły: dawniej można było otwarcie, jawnie kupić człowieka na targu, teraz się go podstępnie nabywa i stawia w warunkach tak strasznej konieczności, że nawet ten biedny nasz chłop musi teraz załamać ręce i oddać się ostatniej rozpaczy".

Pozytywistyczna idea solidaryzmu narodowego nie pozwoliła Dygasińskiemu spojrzeć równie jasno na stosunki polskie (mniejsza jaskrawość faktów zachodzących w kraju miała tu również swoją rolę). Nie znalazł się też pisarz w konflikcie z rodzimą burżuazją, która zorganizowała jego wyprawę. Z tym wszystkim protest Dygasińskiego, mimo, iż skierowany tylko przeciw kapitalizmowi obcemu oraz obrona praw człoweka są wartościami cennymi i nie można o nich zapominać.

Danuta Brzozowska

HENRYK BEREZA

Z DZIEJÓW AMERYKI

Na szlaku amerykańskiej rewolucji*)

Biały, piętrowy o greckich kolumnach pałac na wyniosłym wzgórzu drży w posadach od pocisków potężnej haubicy. Nie opodal wzgórza dymią jeszcze zgliszcza spalonej wioski. Wokół kręcą się setki postaci w białych płaszczach z ognistymi krzyżami. Setki celują w okna walącego się pałacu. Kilkadziesiąt murzyńskich rodzin wespół z kilkoma białymi broni się w domu dawnego właściciela plantacji przed zemstą krwawych zbirów z Ku Klux Klanu. Murzyni poznali wartość wolności i aby żyć w wolności, gotowi są umrzeć. Zginęli najdzielniejsi, patrząc przed śmiercią na płonące chaty, owoc pracy pierwszych lat wolności, zginął czarny lekarz, gdy z poczucia obowiązku zgodził się ratować rannych kukluxklanowców i opuścił pałac, zginął dostojny Gedeon Jackson, czarny senator i członek Kongresu, któremu byli właściciele niewolników nie mogli darować, że wraz z nimi zasiada przy wspólnym stole. Potężną wizją krzywdy i buntu, bohaterstwa i poświęcenia kończy Howard Fast wspaniałą epopeję murzyńską „Droga do wolności".

„Mężczyznom i kobietom, czarnym i białym, żółtym i brunatnym, wszystkim, którzy oddali swe życie w walce z faszyzmem", poświęcił Fast swą potężną epopeję, którą kończył wtedy właśnie, gdy ludzie czarni i żółci, brunatni i biali zbliżali się do zwycięstwa nad zwolennikami teorii wyższości jednej rasy nad drugą, gdy ludzie ci wierzyli, że zwycięstwo nad faszyzmem położy kres rasowym dyskryminacjom.

Nie wiadomo, co u Fasta zasługuje na większy podziw — trafność materialistycznej analizy historycznej czy wnikliwość orientacji w kierunku politycznych dążeń władców Wall Street. Że „Drogę do wolności" reakcja amerykańska zrozumiała jako hasło do walki o zniesienie wszelkich dyskryminacji rasowych, świadczy najlepiej fakt, że wiceprezydent Kolumbijskiego Uniwersytetu zakaz wygłoszenia przez Howarda Fasta przemówienia do studentów motywował tym, że *„Mr Fast w oburzający sposób wypaczył, przekręcił i zdyskredytował dzieje Ameryki, szkalował idee i ideały amerykańskie, usiłował siać przesądy i nienawiść między klasami, rasami i grupami wyznaniowymi w naszym kraju"*.

Jest dla każdego jasne, że w interesie Rockefellerów, Morganów, Trumanów pisarze winni szerzyć ducha pokory i umiłowania cierpień wśród linczowanych Murzynów, wymierających z głodu resztek plemion czerwonoskórych Indian i bombardowanych Koreańczyków. Hołdowanie ideałom walki o godność człowieka, o prawo do życia i szczęścia nazywają sprzedajni prezydenci amerykańskich uniwersytetów „szerzeniem ducha nienawiści", wydobywanie najchlubniejszych tradycji historycznych narodu amerykańskiego, nazywają dyskredytowaniem historii tego narodu.

Zadziwiająca jest właśnie pieczołowitość, z jaką Fast odkłamuje postacie Jeffersonów, Paine'ów, Lincolnów, zadziwiające jest jego skoncentrowanie się na punktach dla historii Ameryki węzłowych i wręcz przełomowych. W powieściach osiemnastowiecznych („Bitwa pod Valley Forge", „Niezwyciężony", „Obywatel Tom Paine" i najnowsza powieść „Dumni i wolni") pokazał Fast specyfikę amerykańskiej rewolucji burżuazyjnej, wydobywając fakt, że owoce cierpień chłopów z Lexingtonu i Concordu, robotników i rzemieślników z Bostonu i Filadelfii zagarnęli plantatorzy z Wirginii i Karoliny, bankierzy z Filadelfii i Nowego Jorku. Tradycjom zdrady narodowej amerykańskiej burżuazji przeciwstawiał Fast tradycje walk narodu amerykańskiego w imię najszczytniejszych ideałów ludzkości.

Druga seria powieści historycznych Fasta koncentruje się na problematyce drugiej połowy dziewiętnastego wieku („Ostatnia granica", „Amerykanin", „Droga do wolności"). Procesy historyczne odmalowane przez Fasta w „Ostatniej granicy" i „Amerykaninie" poprzedziła wielka demokratyczno - burżuazyjna rewolucja, wojna domowa lat 1861 — 1865, której problematyce najbliższa jest „Droga do wolności".

Wyrazem kompromisu, jakim zakończyła się osiemnastowieczna rewolucja amerykańska, dowodem oszustwa dokonanego na amerykańskich masach ludowych jest fakt zachowania w południowych stanach niewolnictwa, pierwotnej i hańbiącej formy organizacji społeczeństwa. Niewolnictwo było kompromisem na rzecz właścicieli ogromnych plantacji bawełnianych, obsługiwanych wyłącznie przez murzyńskich niewolników, których liczba na samym południu sięgała czterech milionów. Najwybitniejsi przedstawiciele narodu amerykańskiego z Washingtonem Irvingiem, Longfellow'em, Whitmanem na czele zdawali sobie sprawę z hańby, jaką okrywa się naród amerykański, kultywując najbardziej barbarzyńskie formy traktowania człowieka innej rasy. Niewolnictwo potępiali myśliciele europejscy. Heine z właściwą sobie zjadliwą ironią pisał w „Okręcie niewolniczym":

„Sześciuset Murzynów udało się mi
Za bezcen nabyć w Senegalu.
Krzepki to ludek: zęby — jak głaz
A mięśnie — twardsze od stali,

Za wódkę, za noże kupiło się ich;
O złocie — jakaż tam mowa,
I ośmiokrotny będę miał zysk
Choćby ich zmarła połowa".

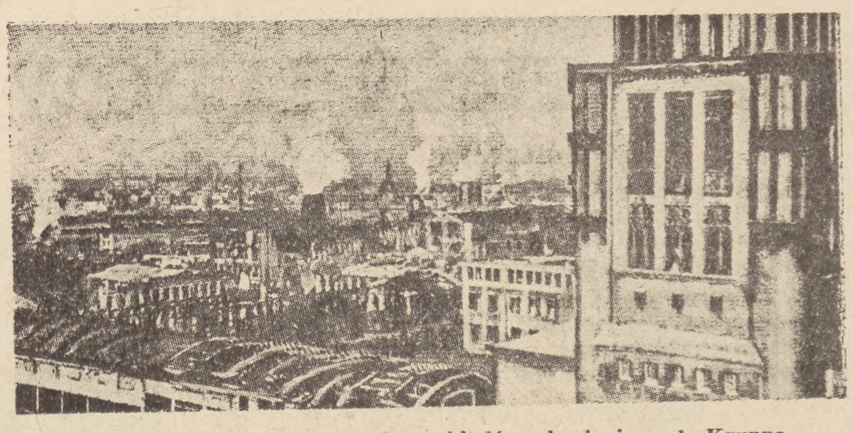
Płomienne strofy o krzywdzie czarnego człowieka pisał wybitny poeta amerykański John Greenleaf Whittier (1807 — 1892), którego nazywano murzyńskim bardem. W swych „Poezjach przeciw niewolnictwu" odwoływał się do poczucia ludzkiej godności białego człowieka i groził krwawą zemstą ze strony pozbawionych praw ludzkich czarnych współbraci. Najwyraźniej ucisk i krzywdę Murzynów wyraziła Harriet Beecher - Stowe, autorka słynnej na całym świecie powieści „Chata wuja Toma". Powieść tę wydano w roku 1852, w okresie nasilenia ucisku Murzynów zwłaszcza w środkowym kolonizowanym stanie Kanzas. Powieść przedstawiająca cierpienia szlachetnego, oderwanego od żony i dzieci Murzyna Toma wstrząsnęła opinią publiczną. *W czasach niewolnictwa w stanach Ameryki* — pisała Beecher-Stowe — *na całej kuli ziemskiej nie było istoty tak bezbronnej i opuszczonej, jak Murzyn w tej wielkiej rzeczypospolitej, chlubiącej się prawami równości i braterstwa. Panowie mieli nad niewolnikami władzę nieograniczoną i dowolnie rozporządzali ich losem. Prawo nie przyznawało czarnemu człowiekowi praw żadnych: jak ładunek bawełny, tak oni przechodzili z rąk do rąk*". Beecher-Stowe nie potrafiła odkryć społecznych i ekonomicznych źródeł zła, opisy jej jednak miały siłę wstrząsającą.

Nic dziwnego, że Lincoln spotkawszy autorkę „Chaty wuja Toma" wypowiedział słynne zdanie: *„Więc to jest ta drobna kobietka, która popchnęła wielki naród do wojny"*. Gdyby Beecher-Stowe żyła w Ameryce Trumana, prezydenci amerykańskich uniwersytetów, podobnie jak w wypadku Howarda Fasta ogłosiliby jej działalność za hańbę dla narodu amerykańskiego. Propagatorom wstecznictwa i ucisku bliższe są idiotyczne kicze literackie, maskujące rzeczywistość, propagujące najohydniejsze formy życia społecznego. Pozbawione jakiejkolwiek wartości powieścidło Margaret Mitchell „Przeminęło z wiatrem" od 1935 roku osiągnęło setki wydań, zostało przetłumaczone na dziesiątki języków i rozreklamowane jako arcydzieło literatury światowej dlatego tylko, że autorka dla odmalowania przeżyć, wyrwanej z jakiegokolwiek kontekstu historycznego, bohaterki Scarlet O'Hara użyła szkalujących amerykańską rewolucję akcesoriów, umieszczając akcję potężnego kiczu w okresie wojny domowej. Plantatorzy z południa według Margaret Mitchell to nie okrutni gnębiciele wyzyskiwanych Murzynów, wrogowie postępu, ale chodzące anioły, których jedyną troską jest szczęście i dobrobyt głupich, chociaż kochają-

***) Pierwszy artykuł tego cyklu ukazał się w 31 n-rze „Wsi" pt. „U kolebki USA".**

STANISŁAW SZENIC

REMILITARYZACJA NIEMIEC ZACHODNICH



W Essen znów dymią kominy zakładów zbrojeniowych Kruppa

GDY armie radzieckie zbliżyły się już do Berlina i jasno zarysowała się klęska Niemiec faszystowskich, Roosevelt i Churchill zebrali się w lutym 1945 r. u generalissimusa Stalina w Jałcie na Krymie, aby ostatecznie uzgodnić cele zwycięstwa. We wspomnym komunikacie z 11 lutego 1945 r. podanym do wiadomości wszystkich narodów świata, stwierdzili między innymi:

„Jest naszym niezłomnym zamiarem zniszczenie niemieckiego militaryzmu i narodowego socjalizmu i zdobycie pewności, że Niemcy już nigdy więcej nie będą w możności zakłócić pokoju świata.

Jesteśmy zdecydowani rozbroić i rozwiązać wszystkie niemieckie siły zbrojne, złamać na zawsze niemiecki sztab generalny, który wielokrotnie doprowadził do wskrzeszenia militaryzmu niemieckiego, usunąć lub zniszczyć wszelkie niemieckie wyposażenie wojskowe, znieść lub poddać kontroli wszelkiego rodzaju taki przemysł niemiecki, który mógłby być użyty do produkcji wojskowej...“

Jeszcze podpisy pod Układem Poczdamskim nie zdążyły obeschnąć, a już zaczęły je systematycznie łamać państwa imperialistyczne. Monopoliści anglo-amerykańscy z protektorów Hitlera przekształcili się w protektorów imperializmu niemieckiego. Łamiąc systematycznie postanowienia Układu Poczdamskiego doprowadzili do podziału Niemiec i utworzenia z Niemiec Zachodnich anglo-amerykańskiej bazy agresji, skierowanej przeciwko Związkowi Radzieckiemu i państwom demokracji ludowej. W początkowym okresie państwa zachodnie usiłowały prowadzić możliwie w tajemnicy przygotowania, zdążające do remilitaryzacji okupowanych przez nie Niemiec Zachodnich. Lecz od czasu konferencji ministrów spraw zagranicznych Stanów Zjednoczonych Ameryki, Anglii i Francji we wrześniu 1950 r. w Nowym Yorku przystąpiono do jawnej remilitaryzacji Niemiec Zachodnich. Punktem wyjściowym stał się amerykański plan Spofforda, przewidujący włączenie dywizji niemieckich do Armii europejskiej Eisenhowera. Wykonawcą planów imperialistycznych, wokół którego odradzał się militaryzm niemiecki i znowu obecnie odradza się, był niemiecki sztab generalny, skupiający najbardziej reakcyjnych generałów i oficerów, związanych pochodzeniem i tradycjami z pruskimi junkrami. Podobnie, jak po klęsce 1918 r. prusko - niemiecki sztab generalny, oficjalnie rozwiązany w wykonaniu uchwał ententy kontynuował pod auspicjami Hindenburga, Groenera, Seeckt'a i wielu innych generałów swoją działalność pod pokrywką różnorodnych organizacji, tak i obecnie natychmiast po klęsce 1945 r. były niemiecki sztab generalny rozwinął bardzo aktywną działalność. Zasadniczą różnicą w porównaniu z okresem po 1918 r. była mniej lub więcej jawna, w każdym zaś razie bardzo wydajna pomoc udzielona obecnie niemieckiemu sztabowi generalnemu, natychmiast po bezwarunkowej kapitulacji Niemiec przez anglo - amerykańskich imperialistów. Amerykańskie władze okupacyjne utworzyły więc na przykład „Biuro Historyczne“, gdzie pod pozorem studiów nad historią ostatniej wojny zatrudniały niemieckich generałów i oficerów, kryjąc ich przed zasłużoną karą, przewidzianą w Układzie Poczdamskim dla zbrodniarzy wojennych.

W biurze tym znalazł jako jeden z pierwszych zatrudnienie generał - pułkownik Franc Halder, były szef sztabu generalnego hitlerowskiego Wehrmachtu. Były generał-pułkownik Heinz Guderian oddany Hitlerowi sercem i duszą, który po nieudanym zamachu na Hitlera w dniu 20 lipca 1944 r., objął funkcję szefa sztabu Wehrmachtu i zapisał się krwawo w tępieniu oficerów podejrzanych o branie udziału w rewolcie pałacowej z 20 lipca, on to otrzymał od władz amerykańskich zlecenie reaktywowania niemieckiego wywiadu.

Czynny udział w przygotowaniach do stworzenia nowego Wehrmachtu bierze między innymi generał hrabia Schwerin, były dowódca 116 dywizji pancernej. Został on doradcą wojskowym kanclerza Adenauera, na co okupacyjne władze Niemiec Zachodnich oczywiście udzieliły swego zezwolenia. Był to pierwszy generał niemiecki, który po wojnie w kwietniu 1950 r. pojechał z wizytą do Londynu, by tam z kołami wojskowymi i konserwatywnymi politykami angielskimi omówić wznowienie niemieckiego Wehrmachtu. Ale Schwerin rozwinął zbyt jawną akcję remilitaryzacyjną, tak że kanclerz Adenauer był zmuszony pod naciskiem opinii publicznej zwolnić go ze stanowiska swego doradcy. Współpracownicy Hr. Schwerina zostali jednak przejęci przez „Sicherheitsamt“, utworzony dla spraw wojskowych przy rządzie Adenauera. Na czele tego urzędu, który jest namiastką przyszłego ministerstwa wojny, stoi poseł z CDU Theodor Blank. Współpracownikami tego urzędu są między innymi generał dr Hans Speidel, były szef sztabu marszałka Rommla, oraz generał Adolf Heusinger cieszący się opinią znawcy warunków prowadzenia wojny na wschodzie, gdyż był członkiem Wydziału Operacyjnego hitlerowskiego sztabu generalnego opracowującego prowadzenie wojny przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Generałowie Speidel i Heusinger wręczyli według komunikatu „Kesseler Zeitung“ z dnia 25 stycznia 1951 r., zachodnim ekspertom wojskowym „szczegółowe rozpracowanie remilitaryzacji Niemiec, zawierające dokładne plany organizacji przyszłych niemieckich jednostek wojskowych oraz sposoby ich rekrutowania“, Według tych projektów miałby niemiecki kontyngent dla armii atlantyckiej być utworzony z roczników 1927—1933.

Według wywiadu udzielonego jeszcze w dniu 27 października 1950 r. paryskiej gazecie „Le Monde“ przez generała Hr. Schwerina, ówczesnego doradcę wojskowego bońskiego kanclerza, rząd Niemiec Zachodnich pragnąłby na wypadek wojny zmobilizować trzy i pół miliona ludzi. Według tejże samej gazety „Le Monde“ z dnia 21 czerwca 1951 r. mają Niemcy Zachodnie do końca 1953 r. wystawić „armię pokojową“ w sile 40 dywizji.

Formacje militarne istniejące w chwili obecnej w Niemczech Zachodnich, skoszarowane i skupione w różnego rodzaju kompaniach wartowniczych, roboczych i oddziałach usługowych wojsk okupacyjnych liczą już około 456.000 ludzi. Również byli hitlerowscy generałowie pełnią służbę w tych oddziałach pomocniczych. W kompaniach roboczych zatrudnionych w Norymberdze służy generał-porucznik Gustaw von Varst, który walczył w Afryce w armii Rommla. Byli generałowie von Schlieben, Paul Mahlmann i szereg generałów lotnictwa pełnią służbę w tych kompaniach na stanowiskach majorów.

Również policję zorganizowano na sposób wojskowy, tak że tworzy ona kadry przyszłych formacji wojskowych. Charakter wojskowy formacji policyjnych wynika już z ich uzbrojenia, które obejmuje karabiny, pistolety automatyczne, maszynowe oraz „samochody terenowe“. Do tego uzbrojenia mają jeszcze dojść moździerze i miotacze min. Uzbrojenia tego dostarczają amerykańskie firmy zbrojeniowe, które oczywiście pragną na remilitaryzacji Niemiec Zachodnich odpowiednio zarobić.

Komendantem policji związkowej, liczącej teoretycznie 30.000 ludzi, jest były hitlerowski generał Anton Grasser, który ma już doświadczenie w przestawieniu kadr policyjnych na kadry wojskowe. Był on bowiem do 1936 r. dowódcą policji w zdemilitaryzowanej w myśl postanowień traktatu wersalskiego strefie Niemiec, a po remilitaryzacji tej strefy przez Hitlera został wraz z kadrami policji przejęty przez Wehrmacht. Policja Związkowa jest azylem dla byłych dowódców SS. Tak na przykład według danych dostarczonych przez kierownictwo partyjne SPD na kursie urządzonym w szkole policyjnej w Hannowerze, spośród 52 uczestników wszyscy z nich byli politycznie ciężko obciążeni. Zamiast pełnić służbę w policji powinni zatem być zamknięci za kratami więziennymi.

Oprócz policji związkowej istnieją we wszystkich jedenastu krajach tworzących bońską republikę związkową, policje krajowe w ogólnej sile 90.000 ludzi, również skoszarowane i zmotoryzowane. Mimo tak licznych kadr policyjnych przystąpiono do tworzenia „służby ochrony pogranicza“, która ma liczyć 10.000 ludzi i być skoncentrowana nad granicą Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Na wzór policji związkowej ma być ona zaopatrzona przez władze okupacyjne w broń automatyczną i ciężką, pozatem będzie w znacznym stopniu zmotoryzowana i będzie dysponować urządzeniami radiowymi. Według oświadczeń, zebranych na konferencji prasowej w dniu 4 lipca b.r. w Bonn przez osławionego hitlerowca Dra Lehra, pełniącego w rządzie bońskim funkcje ministra spraw wewnętrznych, służba ochrony pogranicza ma być niebawem powiększona do liczby 30 tys., na co władze okupacyjne wyraziły już swoją zgodę.

Równolegle z tworzeniem jednostek policyjnych czy formacji militarnych jako kadr przyszłego Wehrmachtu ma miejsce powoływanie do życia różnorodnych organizacji, stowarzyszeń i związków, skupiających byłych wojskowych. Głównym celem tych organizacji jest stworzenie jak największych kadr ludzkich dla przyszłego Wehrmachtu. Związki te są tworzone na wzór dawnych związków żołnierzy frontowych, które w byłej Republice Weimarskiej oddały także usługi przy powiększaniu kadr Reichswehry i jej przekształceniu w Wehrmacht. Już od początku kwietnia 1951 r. usiłowania połączenia poszczególnych związków wojskowych w jedną wielką organizację weszły w ostateczne stadium. Świeżo utworzony w Bonn przy udziale z górą 50 generałów związek byłych żołnierzy frontowych ma objąć żołnierzy wszelkich rodzajów broni. Pod koniec lutego br. również dawny „Stahlhelm“ przy poparciu ministra spraw wewnętrznych Lehra reaktywowany został w Frankfurcie nad Menem jako półwojskowa organizacja.

Te wojskowe organizacje urządzają liczne spotkania swych członków, na których dawni hitlerowcy wymieniają wspomnienia i usiłują psychologicznie przygotować i przyspieszyć remilitaryzację. Ostatnimi czasy głośne było spotkanie członków byłego korpusu pancernego „Grossdeutschland“, które miało miejsce z początkiem czerwca br. w Kassel, oraz spotkanie byłych spadochroniarzy w dniach 28 i 29 czerwca br. w Brunszwiku. Wzięli w nim udział osławieni hitlerowscy generałowie: Student, znany z krwawej okupacji Krety oraz Ramcke, sadystyczny komendant miasta Brest, świeżo wypuszczony z więzienia francuskiego, przewidziany na ważne stanowisko w nowotworzonej armii niemieckiej.

W parze z tworzeniem armii niemieckiej idzie odbudowa i budowa koszar, zakładanie poligonów i lotnisk, budowanie strategicznych szos i linii kolejowych. Do tej pory zarekwirowano w Tentoburger Wald, w Lüneburger Heide i w szeregu innych okolic na cele wojskowe 137.000 hektarów, czyli obszar, z którego można by wykroić samowystarczalne gospodarstwa rolne dla przeszło 20.000 bezrolnych rodzin. 137.000 hektarów stanowi obszar równy połowie kraju Luksemburgu.



Hitlera i Goeringa zastępują dziś Heuss i Adenauer.

Według doniesienia gazety „Mainpost“ z 1 czerwca 1951 r. ma ulec przymusowej ewakuacji 6.900 mieszkańców miejscowości położonych wzdłuż Menu między Schweinfurth, Würzburg i Lohr, aby na opuszczonych przez nich terytoriach stworzyć dla czołgów amerykańskich plac ćwiczeń długości około 20 km. i szerokości około 10 km. Podobnych wiadomości o przymusowej ewakuacji przeprowadzanej dla celów armii okupacyjnych można by przytoczyć jeszcze długi szereg. Jak donosiła gazeta „Heilbronner Stimme“ z 24 marca 1951 r. czołgi brytyjskie zniszczyły w czasie manewrów w powiatach Harburg i Luneburg znaczne obszary, obejmujące przeszło 600.000 metrów kwadratowych pól uprawnych.

Remilitaryzacja Niemiec Zachodnich powoduje również przestawienie produkcji przemysłowej na tory gospodarki wojennej. Podczas gdy przemysł służący do zaspokojenia potrzeb pokojowych ludności daleki jest do osiągnięcia poziomu przedwojennego, w gałęziach służących produkcji wojennej poziom z 1936 roku został już przekroczony. Jak to wykazał przewodniczący Komunistycznej Partii Niemiec KPD Maks Reimann w referacie wygłoszonym na zjeździe Partii w lutym 1951 r. produkcja przemysłu motoryzacyjnego przekroczyła już o 50 proc. produkcję z r. 1936. Jeszcze większy jest wzrost produkcji w przemyśle elektrotechnicznym, który przekroczył o 130 proc. produkcję z 1936 r. oraz w przemyśle paliw płynnych, której produkcja wzrosła o 150 proc. ponad produkcję z r. 1936. Wszystkie te przemysły opanowane są przez koncerny amerykańskie.

Imperializm amerykański inwestuje w celach podporządkowania sobie i ścisłego uzależnienia przemysłu zachodnio-niemieckiego olbrzymie kapitały w Niemczech Zachodnich. Znaczną część tych środków inwestycyjnych czerpie wprost z amerykańskiego budżetu wojennego, dalsze kwoty z sum przeznaczonych w ramach planu Marshalla na uzależnienie Europy Zachodniej od imperialistów z Wall Street. Zadłużenie Niemiec Zachodnich wzrosło w tych kilku latach dzielących nas od zakończenia drugiej wojny światowej, w jaskrawy sposób. Na ogólną kwotę długów zagranicznych rządu bońskiego w wysokości około 35 miliardów marek wierzytelności amerykańskiego kapitału finansowego wahają się między 27 a 30 miliardami marek.

Wobec tego, że amerykańskie monopole zdobyły na skutek różnych klauzul w statucie Ruhry i w statucie okupacyjnym głos decydujący w przemyśle węglowym i stalowym Niemiec Zachodnich stwierdzić należy, że Wall-street kieruje i decyduje dziś we wszystkich gałęziach zachodnio-niemieckiego przemysłu wojennego. W ten sposób produkcja Niemiec Zachodnich, obejmująca rocznie 120 milionów ton węgla i przeszło 18 milionów ton stali, dysponująca przeszło 800.000 wysoko wykwalifikowanymi robotnikami została w zupełności opanowana przez anglo-amerykańskich imperialistów i przestawiana na cele agresji i wojny.

Niemcy Zachodnie otrzymały z początkiem kwietnia 1951 r. oficjalne zezwolenie na nieograniczoną produkcję stali. Nadwyżka ponad produkcję 11.100 tysięcy ton, do tej pory dozwoloną, ma być zużyta na zbrojenia. Ponadto zezwolono na nieograniczoną produkcję aluminium oraz szeregu związków chemicznych, niezbędnych dla produkcji zbrojeniowej. Zniesiono jeszcze szereg dalszych ograniczeń sankcjonując produkcję wojenną w Niemczech Zachodnich z cynicznym pogwałceniem wszystkich porozumień czterostronnych w tej sprawie.

Przestawienie produkcji na cele wojenne zapewniło ogromne zyski monopolom zbrojeniowym, rujnuje natomiast gospodarkę zachodnio-niemiecką i powoduje rosnącą nędzę mas. Według obliczeń burżuazyjnego czasopisma „Frankfurter Hefte“ minimum utrzymania wynosi ok. 300 — 350 mk miesięcznie, podczas gdy dochody 14,8 milionów ludności Niemiec Zachodnich, to jest 63,9 proc. wszystkich zarabiających wynoszą poniżej 250 marek. Ceny żywności podskoczyły ostatnio o około 50 proc., a podwyższenie ceny węgla, stali i taryf przewozowych wywoła dalszą zwyżkę cen na przedmioty pierwszej potrzeby. Stała obniżka stopy życiowej i widmo bezrobocia ułatwia monopolistom wysuwanie coraz większych wymagań odnośnie wysiłku pracy.

W tych warunkach remilitaryzacja napotyka na coraz większy opór ludności Niemiec Zachodnich. Tworzenie przez anglo - amerykańskich imperialistów, przy pomocy usłużnych hitlerowskich generałów zaciężnych formacji niemieckich w ramach Paktu Atlantyckiego, prowadzi po linii pochyłej do nowej wojny. Odstrasza więc coraz szersze koła ludności niemieckiej. Dlatego też hasło „Bez nas“ znajduje coraz większy odźwięk i coraz szersze warstwy ludności występują przeciwko remilitaryzacji. Walka przeciwko remilitaryzacji nie ogranicza się do haseł, ale przybiera formy aktywnego oporu przeciwko amerykańskim przygotowaniom wojennym. Podstawową rolę w walce o pokój i jedność Niemiec odgrywa niemiecka klasa robotnicza z jej awangardą KPD na czele. Dokoła niej zespalają się demokratyczne i patriotyczne odłamy społeczeństwa niemieckiego. Przekonywującym dowodem tej walki szerokich mas ludności przeciwko remilitaryzacji jest akcja przeprowadzona w wyniku uchwał pierwszego zachodnio - niemieckiego Kongresu przeciwko remilitaryzacji, który się odbył 28 stycznia 1951 r. w Essen z udziałem 1.700 delegatów spośród wszystkich warstw ludności. Zagadnieniu walki przeciw remilitaryzacji Niemiec były poświęcone również obrady Europejskiej Konferencji Robotniczej, które toczyły się w dniach 23—25 marca 1951 r. w Berlinie. Akcja plebiscytowa wszczęta przeciwko remilitaryzacji objęła najszersze warstwy ludności, tak że rząd Adenauera nie widział innego wyjścia i po prostu zakazał jej przeprowadzenia, gwałcąc i łamiąc jawnie ustawę konstytucyjną. Dając wyraz braterskiej jedności łączącej ludność Niemieckiej Republiki Demokratycznej z siłami pokoju w Niemczech Zachodnich rząd NRD uchwalił na posiedzeniu w dniu 3 maja 1951 r. przeprowadzenie referendum na obszarze NRD w dniach 3 — 5 czerwca 1951 r. Przeszło 13 milionów osób czyli 95,9 proc. uczestników referendum głosowało przeciwko remilitaryzacji i za zawarciem pokoju, dając wyraz, że NRD wzmacnia się z każdym dniem jako potężny bastion pokoju i demokracji.

Dotychczasowe wyniki walki przeciwko remilitaryzacji wykazały, że amerykańscy agresorzy nie zdołają przeprowadzić swoich planów wojennych, że naród niemiecki wytęży wszystkie swoje siły dla zapewnienia pokoju i stworzenia jednolitych i demokratycznych Niemiec. Naród niemiecki nie jest odosobniony w walce swej przeciwko remilitaryzacji Niemiec Zachodnich i przygotowaniu nowej wojny. Znajduje w tej walce poparcie wszystkich narodów miłujących pokój i wszystkich sił postępu na całym świecie, złączonych w obozie pokoju, któremu przewodzi wielki Związek Radziecki.

Stanisław Szenic

---

cych swoich panów i dobroczyńców Murzynów. Poczciwych plantatorów napadli okrutni jankesi z północy i plantatorzy zdobywali się na szczyty bahaterstwa, by błogostan na południu trwał jak najdłużej, a gdy wojna została przegrana, w białych płaszczach kuk - klux - klanowców bronili odwiecznego ładu społecznego. Powieść Margaret Mitchell wymaga niedwuznacznego komentarza, gdyż i u nas nie brak nieporozumień na jej temat, chociaż już prof. Tretiak nazwał Margaret Mitchell amerykańską Mniszkówną historyczną.

Że inaczej na sprawę swego szczęścia zapatrywali się sami Murzyni, świadczy najlepiej fakt, że do zakończenia wojny domowej przez cały dziewiętnasty wiek Ameryką wstrząsały nieustanne bunty niewolników. W Wirginii w roku 1831 wybuchło formalne powstanie pod wodzą Nata Turnera, wojnę domową poprzedziły długotrwałe walki zbrojne w stanach Kanzas i Nebraska i powstanie w Wirginii Johna Browna w roku 1859. Powstania niewolników były siłą motoryczną amerykańskiej rewolucji, przez dziesiątki lat rewolucjonizując nie tylko masy ludowe, ale nawet postępowe odłamy burżuazji, w której interesy godziło niewolnictwo, hamująco wpływając na rozwój przemysłu. Stany południowe nie miały zapotrzebowania na wytwory przemysłu, gdyż niewolnicza ludność w najprymitywniejszy sposób zaspokajała swoje potrzeby. Powstania niewolników w latach pięćdziesiątych miały ogromne międzynarodowe znaczenie dla rewolucji i ważność ich doceniał Marks: „*Moim zdaniem* — pisał — *największymi wydarzeniami w świecie w chwili obecnej są: z jednej strony amerykański ruch niewolników, który rozpoczął się od śmierci Browna, z drugiej strony ruch niewolników w Rosji*“. Słowa te pisał Marks w przeddzień I Międzynarodówki.

Bunty i powstania niewolników aktywizowały proletariat i rzesze drobnych farmerów, które poparły postępową naówczas burżuazyjno-demokratyczną partię republikańską. Rzecznikiem walki z niewolnictwem stał się Abraham Lincoln, którego wystąpienia przeciwko zwolennikom niewolnictwa budziły entuzjazm w całym narodzie amerykańskim. Wybór Lincolna na prezydenta w roku 1860 spowodował bunt sześciu południowych stanów, które utworzyły tzw. Konfederację, wybrały własnego prezydenta i rozpoczęły długotrwałą wojnę pod hasłem, że niewolnictwo to normalny stan Murzynów. Wspomagani przez reakcyjne rządy Anglii i Francji południowcy poważnie zagrażali północy. Na północy ścierały się intresy mas ludowych i burżuazji, która uzależniona od producentów bawełny południa gotowa była pójść na kompromisy. Masy ludowe domagały się nie tylko zniesienia niewolnictwa, ale i daleko idących reform demokratycznych, których urzeczywistnienie, jak wskazywali Marks i Engels, było niezbędnym warunkiem zwycięstwa. Burżuazja zmuszona była do ustępstw. Abraham Lincoln ogłosił ustawy o bezpłatnym nadaniu działek ziemi na niezamieszkałych terenach zachodu (1862), zniósł niewolnictwo (1863), przeprowadził demokratyzację aparatu państwowego. Robotnicy i farmerzy, masy europejskich emigrantów, tysiące byłych niewoników stanęły po stronie rewolucyjnej armii, zasilając pułki generałów Granta i Shermana. Tylko dzięki bohaterstwu mas ludowych południowcy zmuszeni byli do kapitulacji, z walki jednak nie zrezygnowali.

Po przegranej wojnie byli właściciele niewolników nie przebierali w środkach. Walcząc zdradą i podstępem, przekupstwem i terrorem nie zawahali się zamordować jednego z największych synów narodu amerykańskiego Abrahama Lincolna (1865). Można by przypuszczać, że pamięć bohatera, czczonego przez cały naród amerykański będzie zachowana przez uczonych, których oburzają powieści Fasta, wydobywające najchlubniejsze tradycje historyczne. Lincolnowi poświęcono w Ameryce wiele pracy. I dziwne, że troskliwych o historię uczonych nie oburzają kłamliwe publikacje o wielkim Amerykaninie. Obszerna monografia Mastersa („Lincoln, the Man“) zawiera setki plugawych oszczerstw pod adresem czołowego przedstawiciela amerykańskiej myśli politycznej, a pomimo to nie wywołuje świętego oburzenia przedstawicieli oficjalnej nauki amerykańskiej. Widocznie tylko prawda o przeszłości Ameryki oburza doktora Kirka z Kolumbijskiego Uniwersytetu. Widocznie jedynie tradycje rewolucji amerykańskiej, „która bynajmniej się nie skończyła, godzą w poczucie prawdy uczonych, zaprzedanych imperializmowi.

Społeczną treść wojny domowej, jej charakter demokratyczno-burżuazyjnej rewolucji w pełni wydobył Fast w „Drodze do wolności“, w realistycznej konstrukcji losu Murzyna Dedeona Jacksona, pokazując proces kształtowania się świadomości klasowej w wyzwolonych masach murzyńskich. Akcję powieści osadził Fast w okresie pierwszego dziesięciolecia po zakończeniu wojny, gdy przestrzegano jeszcze względnych swobód demokratycznych, gdy władza w Ameryce nie przeszła jeszcze całkowicie w ręce wielkiej burżuazji a plantatorzy południa zmuszeni byli respektować oficjalnie narzucone przez zwycięzców prawa. Umiejscowienie akcji w okresie porewolucyjnej stabilizacji pozwala Fastowi uwypuklić wartość rzeczywistych osiągnięć rewolucji przy jednoczesnym pokazaniu jej ograniczoności, uwarunkowanej tym, że kierownictwo rewolucji spoczywało w rękach burżuazji. Zniesienie niewolnictwa było osiągnięciem najważniejszym ale niewystarczającym.

„Magnaci, plantatorzy, ludzie, którzy stali poza wojną, chociaż ją wywołali i przyczynili się do niej, ludzie, którzy nurzali ręce po łokcie we krwi jedynie dlatego, aby ich wielkie bawełniane, ryżowe i cukrowe fortuny mogły trwać dalej — ujrzeli teraz rzecz nieprawdopodobną. Ujrzeli wyzwolonych niewolników. Były to jakby miliony dolarów, odebrane plantatorom i rozwiewające się w powietrzu“.

Wyzwoleni niewolnicy otrzymali prawa obywatelskie, mogli brać udział w wyborach, zasiadać w Kongresie, ale wyzwoleńcy ci nie umieli czytać, nie posiadali szkół, nie otrzymali ziemi, którą przez wieki całe uprawiali. Wyzysk niewolniczy zastąpiono nie mniejszym, ale bardziej perfidnym wyzyskiem kapitalistycznym. Fast odmalował rozczarowanie Murzynów:

„A co będzie z ziemią? Co wam przyjdzie ze szkół i prawa do głosu, jeżeli nie będziecie mogli zbierać plonów z ziemi? — Ziemia — odrzekł biały człowiek, żując powoli — bracie, poproś ich o ziemię, a zobaczysz, jak cię stąd wyrzucą. Od tego Konwentu nie otrzymamy żadnej ziemi. Jeśli chcemy ją mieć, musimy pracować w pocie czoła i kupić ją na własność.

— Czy nie obrabialiśmy tej ziemi od wielu lat? Czyśmy jej nie zasiewali i nie zbierali jej plonów? Przecież tamci próbowali zniszczyć kraj! Któż ma więc większe prawa do ziemi? — Tu nie ma mowy o prawach, lecz o własności, wujaszku.“

Parlamentarna demokracja była od samego początku złudnym mitem równości i sprawiedliwości. Bo „*jakże mogą istnieć republikańskie instytucje, wolne szkoły, wolne kościoły, swobodne wzajemne obcowanie towarzyskie w mieszanym społeczeństwie, złożonym z bogaczy i niewolników, z właścicieli dwudziestotysięczno akrowych plantacji w pańskich pałacach i mieszkańców lepianek?*“ Nie istniały też długo. Już w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia tradycyjne dwie partie polityczne w minimalnym nawet stopniu nie reprezentowały interesów narodu amerykańskiego. Tradycje walki o postęp przejął kształtujący się w owym czasie amerykański ruch robotniczy.

W kraju, gdzie „rewolucja bynajmniej nie została skończona“, twórczość wielkiego pisarza stanowi pomost między dążeniami przeszłości a perspektywami przyszłości narodu amerykańskiego. Godeonowi Jacksonowi świtała zaledwie myśl, że dopóki w Białym Domu władzę sprawować będą poplecznicy bankierów, plantatorów, dopóty w Wirginii i Karolinie zamaskowane postacie w białych płaszczach z krzyżami będą uprawiać swój bestialski proceder. Dla dzisiejszych „ludzi czarnych i białych, brunatnych i czerwonych“, którzy brali udział w wojnie z faszyzmem, prawda ta jest najzupełniej jasna. Dlatego nie trudno zrozumieć doktora Kirka z Kolumbijskiego Uniwersytetu, broniącego wstępu Howardowi Fastowi, dlatego nie trudno zrozumieć potentantów FBI, żądających dla niego kary więzienia. Prawda nie jest potrzebna dzisiejszym władcom Ameryki.

Henryk Berez

TŁUM. ALEKSANDER RYMKIEWICZ

PIEŚŃ LUDOWA CZESKO-MORAWSKO-SŁOWACKA*)

JABŁUSZKA

Gdy wracałem z odpustu pewnego dnia
zobaczyłem dziewczynę, nie znałem jej,
jak zbóż smukły kłos, jak wody szept młody głos
w ręce miała jabłuszka czerwone dwa.

Byłem chłopcem niemądrym i śmiałem się,
wziąłem od niej jabłuszka i zjadłem je,
lecz od chwili tej krwi w twarzy mam coraz mniej.
Zwróć mi miła urodę i siły me.

KOCHANIE, MIŁE KOCHANIE

Ty kochanie miłe, skąd cię ludzie wzięli,
w sadach ty nie rośniesz, w polu cię nie sieli,

W polu mnie nie sieją, ja się sama rodzę,
i między chłopcami i pannami chodzę.

Ej, ty kochanie nie jesteś stałe,
jak szum strumienia, gdy mija skałę.

Przepłynie woda, kochanie minie,
jako listeczek na rozmarynie.

BOŻE MÓJ, OJCZE MÓJ

Boże mój, Ojcze mój, poplątany, dziwny świat,
a wieśniakom los wieśniaczy cały rok jarzmo kładł.

Krwawy jest, ciężki jest pot i trud i chłopski grosz,
a pan myśli, że panować wieczny czas pański los.

EJ DĘBY, DĘBY

Ej dęby, dęby, zielone dęby, zielona dębina.
Pisze mój miły list do mnie czuły z wierchów
z nad Budina.
Odpiszę jemu, że jego nie chcę — gnuśny jest
cały dzień,
on tylko pijać wódeczkę umie w mieście, gdzie
rynku cień.

HEJ GÓRY, HEJ DOLINY

Hej góry, hej doły hej, pójdę ścieżką tędy.
Ojciec mój był dobry, ja zbójnikiem będę. (bis)
Hej, krzywda tu wielka, hej, ból serce przenika:
bezprawie u panów, prawda u zbójnika. (bis)

JA PAROBEK Z KAPUSZAN

Ja parobek z Kapuszan
nie mam żony jestem sam.





Hej, szybko schudnie, gdy ożeni się ktoś.
Bez żony też swych kłopotów mam dość.

Żonie trzeba to i to:
balię, rondle, sito, szkło.
Hej, szybko schudnie, gdy ożeni się ktoś.
Bez żony też swych kłopotów mam dość.

I ciżemki żona chce
włożyć na swe nóżki dwie.
Hej, szybko schudnie, gdy ożeni się ktoś.
Bez żony też swych kłopotów mam dość.

Żona zechce fartuch mieć,
po sukienki dla niej jedź.
Hej, szybko schudnie, gdy ożeni się ktoś.
Bez żony też swych kłopotów mam dość.

Żonie też pomadę dasz,
gdy się stroi w wolny czas.
Hej, szybko schudnie, gdy ożeni się ktoś.
Bez żony też swych kłopotów mam dość

BOŻE MÓJ, OJCZE MÓJ

Boże mój, Ojcze mój, serce me ściska ból,
ten kto mnie nie chował dziś mi rozkazuje,

ten zaś kto chował mnie leży wśród czarnych pól,
odtąd już mam w trudzie słuchać obcych ludzi.

Mamo wstań, z grobu wstań, skarbie mój, serce me,
dzisiaj chcę z krzywd moich tobie się użalić.

Córko ma, córko ma, trudno wstać z grobu dna,
kamień zgniótł me nogi, płomień serce pali.

Kamień z twych zepchnę nóg, ognia zaś zgaszę słup,
mamo twój grób ruszę, ciebie dostać muszę.

CZYJA TO DZIEWCZYNA

Hej, czyja dziewczyna tam na wzgórzu,
wyczyty kożuszek z drzew wynurza.
Czyja to jest? Powiem wam to:
chodziłem już do niej całe lato.

Pieniądze na buty ciepłe dałem,
kupiła pantofle cienkie, małe,
drogie jak pieprz, kruche jak szkło,
i nie są na zimę, lecz na lato.

Kup ty mi chłopaku o co proszę,
czerwoną wstążeczkę rada noszę,
wstążeczka jak krew ogniem niech gra,
niech będą mój chłopcze ciebie godna.

Kup ty mi chłopaku o co proszę,
zielony fartuszek rada noszę,
trawa twych łąk kolor ten ma,
niech będę mój chłopcze twoja droga.

Kup ty mi chłopaku o co proszę,
czerwoną sukienkę rada noszę,
wije się nić, błyska jak skra,
niech będę mój chłopcze ciebie pewna.

WEŹ MNIE JERZY ZA ŻONĘ

Hej, za żonę Jerzy mnie weź,
hej, za żonę weź mnie Jerzy,
z nas nie będzie śmiała się wieś

Cztery miary żyta ci dam,
cztery miary dam ci żyta,
scyzorykiem skosisz je sam.

By nie było głodnych już dni,
by nie było dni już głodnych,
soczewicy miary mam trzy.

Wina cztery beczki też są,
wina cztery są też beczki,
jak orzeszki takie ich dno.

Hej, za żonę Jerzy mnie weź,
hej, za żonę weź mnie Jerzy,
z nas nie będzie śmiała się wieś.

---

*) Teksty pieśni ludowych tłumaczone według następujących zbiorów:
— Jindrich Maslo — Z ceskych kraju (1949) — Låska, Boze, laska — Purodni melodie klaviren — Ladislav Vycpålek (1949) — Pochodujeme Józef Fuks (1946) — Zahoråcki pjesnicky.

JERZY SKÓRNICKI

POWIEŚCI PIOTRA JILEMNICKY'EGO

Katalog przekładów słowackich wzbogaciły dwie nowe pozycje — dwie powieści Piotra Jilemnicky'ego: „Kawałek cukru"*) i „Kronika"**). Czytelnik zeszłorocznych nowości słowackich przypomina sobie dwa pierwsze przekłady: „Lasy milczą" Horaka i „Zakręt pod Rachovem" Krala. Lektura książek Jilemnicky'ego przywodzi mocno na pamięć owe „slavica": „Lasy milczą", Horaka, to — wydaje się — zdublowana „Kronika" — „Zakręt pod Rachovem" tkwi w tematycznym kręgu „Kawałka cukru". Nie samo tylko pokrewieństwo tematyczne pobudza czytelnika tych książek do zestawień i porównań. Uderza również niezaprzeczone podobieństwo w artystycznym kształtowaniu przedstawianych momentów słowackiej rzeczywistości. Nie chodzi tu o budowanie mglistych konstrukcji wpływologicznych. Waga problemu leży w tym, że materiał literacki, który ten zespół książek reprezentuje, pozwala wykazać wyższość pisarstwa Jilemnicky'ego. Ten też wzgląd będzie skłaniał recenzenta do wycieczek w kierunku książek Krala i Horaka.

*

Na początek kilka słów o Piotrze Jilemnicky'm.

Z narodowości Czech — urodził się w Kyszperku w proletariackiej rodzinie kolejarskiej (1901 r.). Ukończywszy studia w Wyższej Szkole Gospodarczej w Chrudimiu — osiada od 1923 roku w słowackiej wiosce Kypuce jako nauczyciel. Od roku rozpoczęcia pracy nauczycielskiej należy do Partii Komunistycznej.

Życie Jilemnicky'ego, praca wychowawcza wśród słowackiej młodzieży i cała jego twórczość literacka to piękny przykład głębokiego poczucia internacjonalizmu. Pisarz i nauczyciel czeski wszystkimi swymi siłami służy masom ludowym pobratymczej Słowacji. Nie ulega ni razu nacjonalistyczno-szowinistycznym nastrojom, rozsiewanym przez burżuazję obu narodów.

W latach 1926-28 przebywa na terenach Związku Radzieckiego wśród czeskich robotników w komunie Interhelpo (towarzyszom z tej komuny poświęci w kilka lat później swój zbiór reportaży o Kraju Rad — Juliusz Fuczik). Plonem tych lat będzie tom reportaży: „Dwa lata w Kraju Rad", i późniejsze powieści: „Grzmiący krok" — obraz walki o kolektywizację wsi słowackich w Związku Radzieckim — i „Kompas mamy w sobie" — opowieść o międzynarodowej komunie robotniczej Interhelpo.

W latach trzydziestych ukazują się pierwsze książki Jilemnicky'ego o ciężkiej doli ludu słowackiego. „Zwycięski upadek", przedstawiający twardą walkę o byt robociarza Hronia, pozostaje jeszcze pod silnymi wpływami literatury mieszczańskiej. Ekspresjonizm i naturalizm obciążają mocno tę wczesną próbę pisarską Jilemnicky'ego. Przezwyciężenia tych obciążeń dokonuje pisarz w „Kawałku cukru" i „Nieoranym polu" (nie bez reszty). Ostatnia z wymienionych powieści — oskarżenie kapitału czechosłowackego za nędzę, bezrobocia i emigracyjne tułaczki słowackich robotników — winna w jak najbliższym czasie uzupełnić czytelnikom polskim sylwetkę pisarską Jilemnicky'ego.

Przez pełny okres II wojny imperialistycznej był pisarz-komunista więźniem obozów w Dachau i Mauthausen. Po wyzwoleniu pracował jako attaché kulturalny rządu czeskiej republiki ludowej w Moskwie nad dalszą rozbudową i pogłębianiem socjalistycznej kultury narodów czeskiego i słowackiego.

Lata więzienia w hitlerowskich obozach koncentracyjnych pozostawiły w organiźmie pisarza niezatarte ślady. Jilemnicky zmarł przedwcześnie w pełni sił twórczych w maju 1949 roku.

*

Równina jak stół płaska, aż po granice widnokręgu. Jak daleko oko sięgnie — pola buraczane. Chude chłopskie poletka przytłacza olbrzymie cielsko ziem dworskich. Na chłopskich zagonach uznojeni ludzie użyźniają własnym potem uprawianą ziemię. Woły i chude szkapiny ciągną jednoskibowe pługi — ciężka, żmudna walka z ziemią o skąpe plony. Na ziemi obszarnika Jerzabka jazgocze traktor. W dali — tam gdzie zachodzi słońce, kontury miasteczka. Pod miastem czernieje zespół murów i kominów cukrowni.

Tak, to już wystarcza na szeroką jak rzeka powieść o krzywdzie buraczarza, wyzyskiwanego przez dwór i kartele cukrownicze, parobka w obszarniczym dworze. Widzimy parobka Balenta, patrzącego na pola:

„I wzdłuż i wszerz... buraki cukrowe. Cukier... cukier... całe życie kręci się koło cukru. Kiedy brał tę rolę, miał takie wrażenie, jakby krajał olbrzymi plaster miodu: kiedy buraki okopywał, dobywał z gruntu albo ładował na wóz, zdawało mu się, że ręce jego lepią się do motyki albo do łopaty. Tak silne było wyobrażenie tej słodyczy, w której zatopione jest całe jego życie. Gorzkie jego życie..."

Parobek Balent trzy razy dziennie pije nieomaszczaną polewkę z kluskami, albo czarną gorzką kawę z równie czarnym i gorzkim chlebem.

Po kilku stronach książki zdaje się nam, że jesteśmy w pełni zorientowani w zamierzeniu pisarskim Jilemnicky'ego: powieść będzie ukazywała ciężką i trudną walkę drobnych plantatorów buraków i robotników rolnych z przytłaczającą ich zmową dziedziców i potentatów przemysłu cukrowniczego. Walka będzie tym ostrzejsza, że czas akcji powieściowej obejmuje czasy międzynarodowego kryzysu:

„Świat jęczy pod kryzysem... Kryzys już od kilku lat wali się przez kraje, jednym rozmachem ręki zatrzymuje fabryki, drugim dusi robotników i paraliżuje ich muskuły, trzecim dławi gospodarzy. Zmiażdży wszystko... wszystko jest przybite do ziemi i zdławione, obejrzyjcie się wokoło, a nic już nie zobaczycie: wpadliśmy w jamę, skąd nic nie widać. Jakieś niedorzeczne mrowisko ludzkie, tragiczne ogłupienie, trujące, niezdatne do oddechu powietrze, ślepota, ciemność za dnia.

Ludzie pracują... ale nie wiedzą dla kogo.

Ludzie nie pracują... a mieliby dla kogo".

Jilemnicky nie poprzestaje jednak na tym. Chce dać szeroki obraz społeczeństwa słowackiego w warunkach panoszącego się kryzysu. Powieść toczy się co najmniej czterema nurtami: jeden to ten, który nakreśliliśmy wyżej, drugi — ukazuje środowisko Jerzabków i ich popleczników w mieście, trzecim objęta jest młodzież wiejska i szkolna, czwarty — to spojrzenie na falujący w gniewie, zwiększający się z dnia na dzień tłum bezrobotnych, wypełniający ulice miasteczka.

Cóż, kiedy każdy z tych wątków to temat do osobnej, rozbudowanej powieści. Widać to wyraźnie po pierwszej części powieści Jilemnicky'ego. Pisarz unikając schematyzowania wzbogaca poszczególne wątki w szczegółowe konflikty komplikujące. I tak w nurcie pierwszym w samodzielny niemal obraz urasta krzywda wolarza Kowacza, którego wyparł z pracy zakupiony przez Jerzabka traktor. Luddystyczny bunt i walka z maszyną — to przykład walki nieuświadomionej. Inną walkę prowadzi syn parobczychy Balentki, o którym ona sama z dumą mówi: „Mój Marek — to proletariusz".

Albo znowu wątek młodzieżowy: walka o wydarcie wiejskiej młodzieży spod wpływów syna dziedzica, haniebne pociągnięcia reżimowych nauczycieli, dławiących swobodną myśl uczniów, borykanie się z życiem młodego maturzysty Wawra — dają zupełnie wystarczające bogactwo materiału i dostatecznie ostre konflikty dla zbudowania odrębnej, pięknej powieści o życiu słowackiej młodzieży. Przecież Jilemnicky chce, żeby jego ludzie żyli pełnym życiem. Nie odmawia im słuszności, gdy zaczynają się kochać i cieszyć się drobnymi sukcesami prostego, codziennego życia. Śledząc rozwój tego wątku, widzimy wyraźne, osobiste zaangażowanie pisarza w przedstawionych obrazach życia młodzieży. Jilemnicky wiele lat spędził jako wychowawca wśród młodych Słowaków. W sylwetce profesora Barny błąkają się gorzkie wspomnienia bezsilności świadomego otaczającej go sytuacji społecznej wychowawcy wobec politycznego terroru panoszącego się w murach szkolnych.

Można by tak po kolei pokazywać piętrzenie się nagromadzonych konfliktów i powikłań w poszczególnych nurtach powieści. Nie jesteśmy zwolennikami schematyzmu w badaniu dzieła literackiego, ani formalistycznych sztuczek, ale nie ulega wątpliwości, że gdyby przyszło sporządzić wykres powiązań wątków i epizodów — okazałoby się bardzo naocznie że ich nadmiar przeciąża książkę, szczególnie w części ekspozycyjnej. Można przyjąć, że wykres przedstawiałby siatkę nie mniej pogmatwaną, jak na przykład tablice genealogiczne ostatniego koronowanego Habsburga.

Książkę Jilemnicky'ego o „kawałku cukru" obciąża więc ten sam błąd kompozycyjny, który recenzenci zarzucili „Zakrętowi pod Rachowem" Krala. Pisarz, zamierzający ukazać szeroki obraz życia społeczeństwa, unika wprowadzenia wątku czy postaci centralnej, która by cementowała całą akcję, rozprasza się natomiast w szczegółach. Stąd wypływa — jako nie dająca się uniknąć konsekwencja — szkicowaść przedstawień i często nieumotywowane, mechaniczne przenoszenie uwagi czytelnika z jednego kręgu tematycznego w drugi. Powieść nabiera cech szkicu do dziesięciotomowej powieści.

Jak wspomnieliśmy — przeciążenie bogactwem treści odbija się szczególnie silnie na pierwszej części książki — ekspozycyjnej. Od momentu bowiem, gdy poszczególne wątki zostaną wyłożone, akcja dynamizuje się. Z szeregu spięć i konfliktów wyłania się temat wiążący: krzycząca krzywda ludzi prostych w ustroju kapitalistycznego chaosu i coraz ostrzejsza i skuteczniejsza walka przeciw tej krzywdzie. Końcowe partie książki czyta się już rzeczywiście jednym tchem.

Książkę Jilemnicky'ego zamyka wspaniały obraz zwycięskiego strajku robotników rolnych, robotników cukrowni i zwycięskiej opozycji drobnych buraczarzy. Rośnie i umacnia się sojusz robotniczo-chłopski w działaniu, zapowiedź przyszłych zwycięstw w walce o władzę i obalenie starego ustroju krzywdy i wyzysku.

Nie samotna walka Kowacza z traktorem, ale wspólny front walki o to, by maszyny stały się własnością ludu i dla tego ludu pracowały, by każdemu przypadł w udziale sprawiedliwy „kawałek cukru", staje się żywotnym nakazem rzeczywistości. Ostatnim kartom powieści Jilemnicky'ego przyświeca słońce ludowej przyszłości.

*

„Kronika" Jilemnicky'ego opowiada o chlubnej karcie w dziejach narodu słowackiego — o roku 1944, w którym Słowacy powstali przeciw hitlerowskiemu i hlinkowskiemu faszyzmowi. Wypadki rozgrywające się w górzystej okolicy, położonej na wschód od Bańskiej Bystrzycy, pozwalają pisarzowi ukazać mechanizm powstawania szerokiego frontu walki o wyzwolenie narodowe.

Wokół grupy działaczy partii komunistycznej, w wyniku prowadzonej przez nich akcji politycznej — narasta masowy ruch narodowowyzwoleńczy. Jednym tętnem żyją górskie koliby — kryjące sztaby radzieckich i słowackich oddziałów partyzanckich, zaszyte w lasach leśniczówki — przemieniające się w ośrodki dyspozycyjne walki podziemnej, i położona w dolinie rzeki Hroń wioska — baza operacyjna i rekrutacyjna ruchu. Komitet rewolucyjny, kierujący walką z okupantem, przygotowuje jednocześnie masy ludowe do przejęcia władzy w swe ręce.

Jilemnicky kilkakrotnie podkreśla świadome ograniczenie ram obrazu do wypadków rozgrywających się w jednej gminie słowackiej — broni koncepcji kroniki, notującej rzeczywiste wydarzenia jednego z terenowych ogniw ruchu powstańczego. Koncepcja wydaje się słuszna: dzieje tworzą swym wysiłkiem szerokie masy narodowe, ogólny wynik walki o wolną ludową Słowację przygotowały rewolucyjne osiągnięcia mas w poszczególnych miastach, wioskach, gminach.

Nie wszędzie jednak istniały jednakowe warunki walki. Jilemnicky — pisząc o gminie położonej w górnym biegu Hronia, sam stwierdza — że walka w niej była łatwiejsza: o obliczu klasowym gminy decydowała bowiem zupełna przewaga sproletaryzowanej biedoty chłopskiej. W „Kronice" przejęcie władzy przez ludową Gminną Radę Narodową odbywa się w wiosce w atmosferze powszechnego manifestacyjnego zapału, ale nie ostrej walki klasowej. Obóz reakcji społeczno-politycznej reprezentują w książce: sklepikarz Cut, paskarka Dobuszowa i wójt — hlinkowiec, realizujący jako władza polityczna właściwe tylko ambicje żony, a nie program faszystowskiego reżimu. Rozbicie tak skonstruowanej koalicji sił wstecznych nie stwarza w powieści żadnego problemu. Rzecz prosta, że taki obraz nie daje właściwego pojęcia o wielkim, rewolucyjnym wysiłku ludu słowackiego w dziele walki o proletariacką władzę w swym kraju, nierozerwalnie związanej z walką przeciw hitlerowskiej niewoli narodowej.

Ciasny autentyzm nie oznacza jeszcze realizmu. Pisarz, który pisze kronikę gminy, by ukazać dynamikę walki o wyzwolenie narodowe i społeczne Słowacji — świadomie dokonuje wyboru gminy. W większości gmin słowackich walka ponad wszelką wątpliwość nie była taka łatwa. Walka w opisywanym przez pisarza Blku nie miała wszystkich znamion typowości.

Nie można jednak zamykać oczu na fakt, że ambicją pisarza jest rozszerzenie obrazu poza wymiary opowiadania o partyzanckiej wojaczce. Książka Jilemnicky'ego przewyższa o wiele szczebli tę próbę ukazania walk powstańczych Słowacji, którą dał Józef Horak. Gmina Jilemnicky'ego żyje daleko prawdziwszym życiem, niż zagroda Vahanów — rezerwat, w którym osiedlono ludzi o świadomości dziewiętnastowiecznych Janosików. Ludzie z Blku są mniej czy więcej uświadomionymi współtwórcami nowej rzeczywistości, dla Vahanów bieg powstańczych wydarzeń nie różni się w swym sensie i poznawalności od żywiołowego kataklizmu przyrody, rozbijającego życie samotnej zagrody.

Już nie koncepcja miłości współdzikiego juhasa do radzieckiej spadochroniarki decyduje o ukazaniu bohaterskiej pomocy ludzi Kraju Rad dla walczącej o wolność Słowacji (tak w książce Horaka). Jilemnicky ukazuje zagadnienie w całej jego głębi. Zwycięska ofensywa armii radzieckiej, niosąca klęskę hitlerowskiej machinie wojennej, leży u podstaw nadziei słowackich patriotów na rychłe wyzwolenie narodowe i społeczne. U boku słowackich i czeskich partyzantów walczą oddziały radzieckich spadochroniarzy. Piękna sylwetka pułkownika Szukajewa — wodza radzieckich partyzantów — to wierny obraz dowódcy nowego typu, oficera radzieckiego, równie twardego w sprawach dyscypliny, jak ludzkiego w trosce o żołnierzy.

Niezaprzeczalną oryginalnością książki Jilemnicky'ego jest sposób, w jaki pisarz buduje tok narracji. Książka przybrała kształt spisanego opowiadania prostego uczestnika walk i politycznych wydarzeń — leśniczego Gondasza. O człowieku, który spisuje gawędy Gondasza — wiemy, że jest nauczycielem szkoły wiejskiej. Tajemnica tej wymyślnej formy jest prosta. Jilemnicky nie był bezpośrednim świadkiem okupacyjnej rzeczywistości w kraju słowackim — przez cały niemal okres wojny był więźniem hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Był zaś wiele lat nauczycielem w Kypucach, które nie były znowu tak odległe od opisywanego Blku. Po wyzwoleniu obszedł wioski w górnym biegu rzeki Hroń, by zebrać materiał do swej opowieści o powstaniu Słowaków. „Kronika" urodziła się z opowiadań świadków wojennych wydarzeń. Etap wstępny kształtowania się powieści można prześledzić w ogłoszonym w 1945 roku szkicu „Cierny Balog" (zmadziaryzowana nazwa wioski Blk).

Tok narracji w „Kronice" może budzić pewne zastrzeżenia. Jilemnicky niejednokrotnie zbytnio ulega urokowi potoczystej wymowy swego narratora. Wiele kart książki traci wskutek tego manierę gadulstwa, przerywanego pykaniem myśliwskiej fajeczki. Zbyt częste i szablonowe rezonowanie Gondasza na temat sposobu snucia wątku opowiadania, pełne zastrzeżeń i ubezpieczeń przed ewentualnymi zarzutami, wynurzenia odautorskie (w ustach Gondasza), które w monotonny sposób otwierają i zamykają większość rozdziałów „Kroniki" — nie przysłużyły się wcale do wytworzenie wrażenia o wartości dzieła. Można się również kłócić z autorem, czy akurat właśnie Gondasz powinien być narratorem, często bowiem jego filozofia życiowa koliduje z założeniami deklaracji ideowych partii komunistycznych. Jeśli nawet żył i opowiadał taki Gondasz, jak ten — który żyje w „Kronice", to przecież znowu, jak w przypadku z gminą, wybrał go i dał mu głos na swoją odpowiedzialność Jilemnicky. W ogóle zaś niesłusznie i fałszywe jest odbieranie ludowemu narratorowi prawa do szerszych horyzontów myślowych, do bardziej skrystalizowanego światopoglądu.

Cenną i ciekawą stroną „Kroniki" jest wykorzystanie przyjętych pozycji prostego obserwatora rzeczywistości dla przybliżenia strony obyczajowej życia mieszkańców słowackiej podgórskiej wioski. Folklor i przyroda karpackiej okolicy prowokowały Horaka do snucia ekspresjonistycznych obrazów; Jilemnicky wykazuje tu większą zdolność opanowanego wykorzystania bogatego w tej sferze materiału literackiego. Dalszą zasługą pisarstwa Jilemnicky'ego — świeży i niezwykle indywidualny język powieści. Metaforyka Gondasza — sięganie po realia myśliwskiego i wiejskiego życia w budowanych porównaniach — urasta w odrębny problem stylistyczny przy lekturze powieści. Tłumaczowi „Kroniki" — Zdzisławowi Hierowskiemu — należy się za wprost pieczołowite wydobywanie tych wartości w pełni zasłużona pochwała.

Wartość książki? Jest ona w szerokim oddechu mieszkańców słowackiej wioski po przetoczeniu się przez ich ziemię groźnej i niszczącej machiny wojennej, jest w wielkim zapale prostych ludzi — którzy po dokonaniu patriotycznego obowiązku obrony ojczyzny odchodzą do swych codziennych prostych obowiązków, jest w przekreśleniu znieprawień niesionych przez wojnę.

Jerzy Skórnicki

**) Piotr Jilemnicky, „Kawałek cukru". Przełożyła Alina Świderska, „Książka i Wiedza", 1950, str. 322 + 2 nlb.*

***) Piotr Jilemnicky, „Kronika", Przekład autoryzowany Zdzisława Hierowskiego, PIW, 1950, str. 361 + 1 nlb*

EDWARD MARTUSZEWSKI

ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ LU SIŃ

„Właśnie Lu Siń był najsprawiedliwszym, najodważniejszym, najżarliwszym, najbardziej oddanym, najbardziej płomiennym, największym bohaterem narodowym, który w imieniu większości narodu rozpoczął atak na pozycje wroga na froncie kultury" — pisze Mao Tse-tung w swej pracy „O nowej demokracji".

Lu Siń „chiński Gorki" twórca współczesnej literatury chińskiej nazywał się właściwie Czżou Szu-żeń. Urodził się 25 września 1881 roku, w Szaosin w prowincji Czekiang, a najwcześniejsze wspomnienia jego dzieciństwa dotyczyły stałych wędrówek do lombardu, gdzie wspinając się na palcach do okienka, oddawał w zastaw różne przedmioty, aby uzyskać w ten sposób pieniądze na lekarstwa dla ciężko chorego ojca.

Matka Lu Siń, zarabiając praniem w domu i krawiectwem, osiągnęła to, że — po ukończeniu szkoły średniej — syn jej mógł uczęszczać do szkoły morskiej. Już jako mechanik wstąpił do szkoły technicznej, a po jej ukończeniu wyjechał na studia medyczne do Japonii. *„Moje ówczesne marzenia były piękne* — pisze w przedmowie do jednego ze zbiorków swych opowiadań. — *Postanowiłem, że po ukończeniu Instytutu Medycznego wrócę do ojczyzny, aby leczyć i ratować życie chorych ludzi".*

W 1909 roku wraca do Chin. Wkrótce jednak porzuca medycynę na rzecz oświaty i twórczości. Doszedł bowiem do wniosku, że *„medycyna nie jest teraz dla mnie rzeczą najbardziej istotną. Najważniejszą sprawą dla nas powinna być duchowa przemiana ludzi, a osiągnięcie tego było możliwe w owych czasach — jak sądziłem — za pośrednictwem literatury i sztuki".* Zostaje więc profesorem różnych wyższych uczelni Chin, poświęca się literaturze i publicystyce. Pierwsze jego utwory prozą pod pseudonimem Lu Siń pojawiają się w 1918 r. w piśmie „Nowa Młodzież".

„Lu Siń konsekwentnie i bez wahania prowadził walkę z feodalizmem i imperializmem — pisał o nim Mao Tse-tung — *Lu Siń pokazywał społeczeństwo feodalne w procesie jego rozkładu, piętnował wady ustroju społecznego i ucisk imperialistyczny. Był wspaniałym artystą słowa... Pamiętamy go nie tylko dlatego, że Lu Siń był wielkim pisarzem ale również dlatego, że należał do awangardy ruchu, zmierzającego do oswobodzenia narodu i że oddawał wszystkie swoje siły walce rewolucyjnej".*

Zasługi Lu Siń były trojakie. Pierwszą zasługą, która zyskała mu uznanie i wdzięczność narodu, było przełożenie przez niego dzieł chińskiej literatury klasycznej na współczesny, ludowy język chiński (baihua). W oczach konserwatywnej inteligencji chińskiej równało się to profanacji. Ówczesna literatura chińska bowiem, zamknięta w „wieży z kości słoniowej", pogardzała zwrotami języka potocznego. Zasklepiła się w swojej starodawnej estetyce, stosując jedynie znaki pisarskie sprzed wielu wieków. Straciwszy łączność z ludem literatura chińska wyrodziła się w formalistyczną i elitarną „sztukę dla sztuki". *„Poezja, filozofia i pouczające opowiadanie* — zdaniem tych „artystów" — *nie pasują do domów zwykłych ludzi, podobnie jak piękne obrazy i gobeliny".* Lu Siń zerwał z tymi fałszywymi mniemaniami. Zniszczył monopol klas posiadających w dziedzinie literatury, przyswoił wiele dzieł klasycznych językowi baihua. Owocem jego badań literaturoznawczych była wydana w 1924 roku „Historia nowel chińskich", zwalczająca teorie krytyki feodalnej i burżuazyjnej, a wskazująca na te dzieła, które były najściślej powiązane z życiem ludu.

Jeszcze większą jego „zbrodnią" było przetłumaczenie wielu dzieł literatury obcej. Równało się to przerwaniu chińskiego muru uprzedzenia i pogardy, jakim rządy cesarskie i burżuazyjne oddzielały naród chiński od innych narodów świata. Lu Siń przetłumaczył na język chiński dzieła Gogola, Sienkiewicza, Nacume Soseki, Mori Ogai, Puszkina, Lermontowa, Czechowa, Heine, Byrona, Shelleya, Petöfiego, Mickiewicza, Fadiejewa, Serafimowicza, Gorkiego.

Największą jednak zasługą Lu Siń była „rewolucja literacka", stworzenie nowej, ludowej literatury chińskiej. Jego realistyczne opowiadania, dramaty i wiersze pisane są dla ludu i mówią o ludzie językiem zrozumiałym dla wszystkich. *„Jego język* — stwierdza A. Fadiejew w artykule napisanym w związku z 13 rocznicą śmierci Lu Siń — *odznacza się ludowym sposobem obrazowania. Jego satyra i humor, przy swoim ogólnoludzkim charakterze, posiadają cechy narodowe. Utrudnia to poniekąd przekład utworów Lu Siń na inne języki. Ale bez tych cech charakterystycznych nie byłby on Lu Siń — dumą literatury chińskiej i wybitnym przedstawicielem literatury światowej.*

Lu Siń jest mistrzem krótkiego opowiadania. Umie on krótko, jasno i po prostu przekazać swe myśli za pośrednictwem obrazu, wyrażając w epizodzie wielkie wydarzenia, a w pojedyńczym człowieku—typ ludzki".

Bohater jednej z nowel Lu Siń — A Kiu — jest w Chinach bardziej popularny i „żywy" niż don Quijote w Hiszpanii. Tematyka utworów Lu Siń obraca się zawsze wokół życia prostych, „małych ludzi", przede wszystkim wegetujących w nędzy chłopów chińskich. *„Zabrałem się do pisania nowel* — mówi o sobie Lu Siń — *po to, aby odtworzyć życie i aby pomóc w przebudowie tego życia. Dlatego też tematyka moich utworów związana jest wyłącznie z bytem nieszczęśliwych ludzi naszego chorego społeczeństwa. Chciałem opowiedzieć o cierpieniach i znojach tych ludzi, aby zwrócić im ich uwagę, chciałem siłą swoich utworów przekształcić nasze społeczeństwo".*

Głęboki humanizm cechuje pierwsze utwory Lu Siń, drukowane w 1918 roku. Wielka Rewolucja Październikowa i wpływ utworów pisarzy radzieckich przyczyniły się do rozkwitu talentu i Lu Siń, tak w dziedzinie literatury, jak i w zakresie działalności społeczno - publicystycznej. Nie będąc członkiem Komunistycznej Partii Chin, Lu Siń walczył o realizację tych samych ideałów rewolucyjnych, jako wielki myśliciel, publicysta i pisarz. *„Przedtem jedynie czułem* — pisał Lu Siń — *że stare społeczeństwo ginie. Ale po Wielkiej Rewolucji Październikowej przekonałem się, że twórcą nowego społeczeństwa będzie proletariat".*

Lu Siń studiował i tłumaczył na język chiński dzieła Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina, prace teoretyczne Plechanowa, Mehringa i Łunaczarskiego. Przełożył on też na język chiński wskazania CK WKP(b) na temat literatury i był jednym z założycieli Ligi Pisarzy Lewicowych (1930). Jego liczne utwory o charakterze publicystycznym (zebrane po jego śmierci w 12 tomach) skierowane były przeciwko imperializmowi anglosaskim i przeciwko rodzimej reakcji.

Lu Siń był tym, który zaznajomił swych rodaków z radziecką sztuką plastyczną i z całych sił popierał rozwój chińskiego drzeworytu ludowego, który spełnia do dnia dzisiejszego wielką rolę w akcji uświadamiania i wychowania politycznego mas, ze względu na to, że wiele milionów Chińczyków nie zna sztuki pisania i czytania.

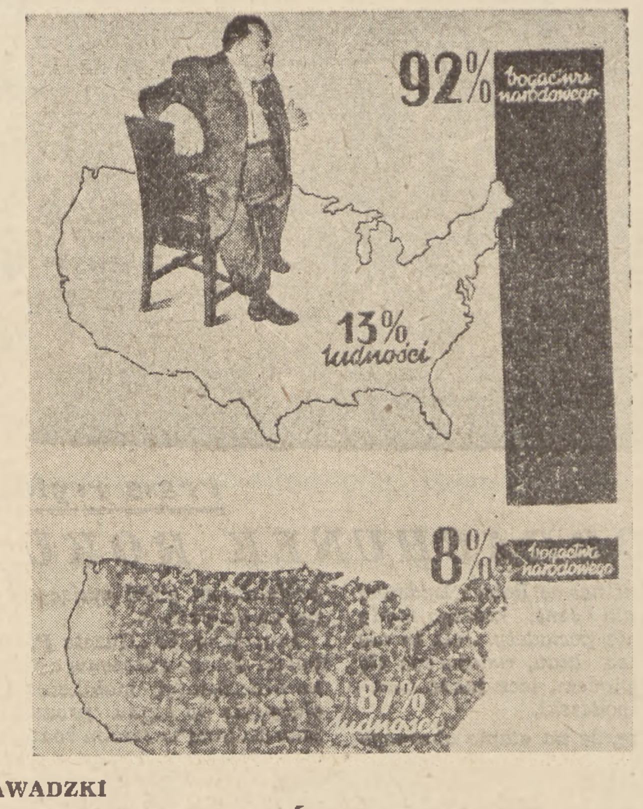
Jako szermierz sprawy postępu i demokracji Lu Siń, ścigany przez władze kuomintangowskie, które parokrotnie chciały go wtrącić do więzienia, musiał co jakiś czas zmieniać miejsce pobytu i pisać pod coraz to nowymi pseudonimami. Prześladowania ze strony Kuomintangu pogorszyły stan jego zdrowia i uniemożliwiły mu literackie opracowanie zebranych już przez niego materiałów o sławnym marszu na północ Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Lu Siń zmarł 19 października 1936 roku w Szanghaju, nie doczekawszy się czasów, o których nadejście walczył.

Całe życie i twórczość Lu Siń przeniknięte były niezachwianą wiarą w nieuniknionу koniec świata kapitalistycznego. Pełne głębokiego humanizmu postaci realistycznych utworów Lu Siń, gorące słowo jego artykułów publicystycznych, całe jego trudne i piękne życie—to wielki wkład w prowadzoną na całym świecie walkę o lepsze jutro ludzkości.

Edward Martuszewski







K. R. ZAWADZKI

SCHYŁEK ŚWIATOWEGO KAPITALIZMU *)

Przewodniczący komunistycznej partii USA, weteran rewolucyjnego amerykańskiego ruchu robotniczego William Z. Foster, w książce przenikniętej rewolucyjnym optymizmem i niezłomną wiarą w zwycięstwo walczącej o pokój, demokrację i socjalizm klasy robotniczej, pisze:

„Postępujący coraz szybciej rozkład międzynarodowego kapitalizmu, równocześnie z obserwowanym wielkim procesem rozwojowym światowego socjalizmu — oto kierunek stanowiący o przebiegu wydarzeń przeżywanej przez nas epoki".

Groźne cykliczne kryzysy gospodarcze, zaostrzenie się przeciwieństw klasowych, wzmagająca się walka uciemiężonych narodów kolonialnych przeciwko imperialistycznym metropoliom, wzrost potęgi obozu socjalistycznego wskazują na kryzys, na upadek międzynarodowego systemu kapitalistycznego. Szereg symptomów przytoczonych przez autora potwierdza ten stan rzeczy: wyludnianie się miast; zamykanie wielkich i małych zakładów przemysłowych; dezorganizacja rynków i handlu międzynarodowego; deprecjacja walut; wzrost bezrobocia; szalejąca drożyzna; degeneracja nauki i sztuki. Świadczą one najwymowniej o tym, że:

„Kapitalizm, po przeżyciu swego wieku, rozkłada się całkowicie zatruwając świat zaduchem".

W. Z. Foster udowadnia błędność złudzeń monopolistów chcących ciągle jeszcze wierzyć, że kapitalizm może być uratowany przez monopole USA. Tymczasem imperialistyczne knowania Wall Streetu, zmierzające do panowania nad światem, przez pogłębianie dezorganizacji gospodarki, oraz wzmaganie walki uciśnionych narodów, powodują jeszcze szybszy rozpad systemu kapitalistycznego. Na jego miejsce przyjdzie socjalizm, wywalczony przez klasę robotniczą, uzbrojoną w zwycięską teorię marksizmu - leninizmu.

*

Ideologowie burżuazji szerzą legendę o amerykańskim „prosperity" i wyłączności kłamiąc, że kryzysy, bezrobocie, absolutne i względne zubożenie klasy robotniczej, antagonistyczne sprzeczności klasowe itp. nieodłączne zjawiska kapitalizmu nie istnieją w USA.

W. Z. Foster demaskuje te kłamstwa, wykazując ponadto, że:

„Monopolistyczny kapitalizm amerykański, przegniły od wewnątrz i periodycznie wstrząsany przez niszczące kryzysy gospodarcze musi być i jest nieuniknienie kapitalizmem imperialistycznym, faszystowskim, agresywnym".

W gospodarce USA panują prawa monopolistyczno - imperialistycznej dżungli. Grupka monopolistów opanowała przemysł, banki, koleje żelazne, komunikację lotniczą, żeglugę morską, oraz bogactwa naturalne kraju. Ilość akcjonariuszy wielkich korporacji (towarzystw akcyjnych) wynosi zaledwie 5,5 do 7 proc. całej ludności. Z tej zaś nieznacznej liczby grupa supermiliarderów (1 proc. ludności) już przed 1939 rokiem zagarniała 60 proc. wszystkich dywidend. Miliony natomiast rodzin amerykańskich żyje w skrajnej nędzy, a ponadto ⅔ ludności odżywia się, ubiera i mieszka poniżej (uznanego w USA za przeciętny) poziomu utrzymania.

Bogactwa amerykańskich miliarderów nagromadzone zostały, jak wykazuje autor, kosztem krwi narodów. Już w czasie I wojny światowej monopoliści USA zagarnęli miliardy dolarów na dostawach wojennych i powojennych. Zyski te w czasie II wojny światowej wyniosły 87 miliardów dolarów. Dlatego też W. Z. Foster porównuje amerykański kapitalizm z potwornym pająkiem, pożerającym złoto, rynki, bogactwa naturalne, rolnictwo, przemysł, niezależność gospodarczą i suwerenność państwową narodów świata.

*

Lektura książki W. Z. Fostera wykazuje czytelnikowi w sposób bezsporny, że II wojna światowa została wywołana przez spiskujące grupy międzynarodowego kapitału finansowego z Wall Streetem na czele. Celem zaś tego spisku było rozbicie i zniszczenie Związku Radzieckiego. W tej antyradzieckiej krucjacie niemieckiemu i japońskiemu faszyzmowi wyznaczono zadania straży przedniej. Dlatego też rządy USA, Wielkiej Brytanii i Francji trzymały się w latach przedwojennych kursu polityki „łagodzenia" wobec wściekłych psów faszyzmu: Mussoliniego, Micado i Hitlera.

Niepomni jednak haniebnego losu tych ludobójców oraz upadku ich systemów, imperialiści USA planują ponownie ekspansję na nieznaną w historii skalę:

„Bredzą oni o imperium światowym, które powinno zaćmić imperium Dżingis - Hana, starożytnego Rzymu, Hiszpanii, Wielkiej Brytanii oraz hitlerowskich Niemiec i Japonii".

W związku z tymi szaleńczymi pomysłami autor analizuje obecną politykę zagraniczną i wewnętrzną USA. Doktryna Trumana, plan Marshalla, pakt Północno - Atlantycki, sprzedajna maszyna do głosowania w ONZ mają służyć jako posłuszne narzędzie Wall Streetu w przygotowaniu wojny przeciwko demokracji i socjalizmowi, w podboju ZSRR.

Dlatego też amerykańskie wydatki wojenne w roku 1949 były o 15 razy większe od budżetu wojennego USA z roku 1940. Liczba amerykańskich wojennych baz lotniczych i morskich, rozrzuconych po wszystkich kontynentach, wynosi ponad 500. Imperializm USA usiłuje ponadto wykorzystać narody krajów zmarshallizowanych, jako tanie i posłuszne mięso armatnie, nie cofając się w tym celu przed żadnym kłamstwem i masowym oszustwem.

Prawa ręka Hitlera — dr Goebbels był marnym dyletantem w porównaniu z perfidią i organizacją oraz środkami finansowymi amerykańskich fałszywych proroków, rozpalających histerię wojenną, głoszących „zimną wojnę", usiłujących dla zachowania milionowych zysków Wall Streetu wtrącić ludzkość w otchłań katastrofy. W. Z. Foster ostrzega jednak militarystów USA, że:

„Światowy system kapitalistyczny beznadziejnie okaleczony w wyniku I i II wojen światowych przegnił nawskroś. Nowa wojna światowa wywoła kompletne bankructwo i prawdopodobnie ostateczną zagładę kapitalizmu".

*

Z cyfr i danych przytoczonych przez autora wynika, że Stany Zjednoczone A. P. stanowią dzisiaj własność znikomej grupki miliarderów. Zrastanie się aparatu państwowego z monopolistycznym kapitałem osiągnęło formę szczytową. Utworzony w ten sposób kapitalizm państwowo-monopolistyczny przystąpił do gwałtownej faszyzacji kraju. W tym celu szerzy on obsesję szpiegostwa, psychozę wojny, antykomunistyczną i antyradziecką histerię przy pomocy: ustawy Taft - Hartley, oraz faszystowskiej ustawy Mac Carena; bezprawnych aresztów; inscenizowanych procesów przeciwko przywódcom komunistycznym; militaryzowania życia cywilnego; sprawdzania lojalności urzędników państwowych, prześladowań i ucisku oraz haniebnych sądów Lyncha nad Murzynami.

Ofiarą tego faszystowskiego kursu padł wraz ze swymi towarzyszami partyjnymi również i William Z. Foster. Był to zresztą tylko sygnał do rozpętania prowokacyjnej ofensywy przeciwko dziesiątkom tysięcy komunistów amerykańskich, oskarżonych „o próby obalenia siłą rządu USA". Wraz z wprowadzeniem przez Trumana osławionego „stanu wyjątkowego", był to kolejny krok na drodze do faszyzacji USA.

*

Kończąc to nader pobieżne omówienie przebogatej pod względem treści oraz głęboko pouczającej pod względem wniosków politycznych książki Williama Z. Fostera, nie należy zapominać, że autor jej ukończył w 1951 roku 70 lat, z tego zaś 50 lat poświęcił sprawie walki klasy robotniczej. W kształtowaniu się zaś jego światopoglądu, jak i w kierowaniu szlachetną bohaterską działalnością Williama Z. Fostera, decydującą rolę odegrała teoria Marksa - Engelsa - Lenina - Stalina — rewolucyjna teoria zwycieskiej klasy robotniczej. **K. R. Zawadzki.**

***) (William Z. Foster. The Twilight of World Capitalism) N. York 1949.**

TADEUSZ ORLEWICZ

KAPITALIZM — TO NĘDZA WSI

Jeszcze w roku 1929 w Stanach Zjednoczonych fermy biedniackie, stanowiące około 50 proc. wszystkich ferm w kraju, dawały przeszło 20 proc. ogólnej produkcji towarowej rolnictwa, reszta zaś przypadała na fermy średnie, wielkie i majątki obszarnicze. Te ostatnie, reprezentując bardzo znikomy odsetek ogólnej liczby gospodarstw rolnych, dawały w tym czasie 25 proc. ogólnej produkcji. W kilkanaście lat potem udział ferm małorolnych w produkcji spadł do 8 proc., natomiast 80 proc. całej produkcji rolniczej USA znalazło się w rękach wielkich towarzystw monopolistycznych i wielkich fermerów.

W miarę postępującej koncentracji kapitału w rolnictwie obok ferm małych dostają się w dławiące pęta szalejącego wyzysku również fermy średnie. Proces ten usuwa coraz większą ilość małych i średnich ferm poza obrót towarowy, skazując je na wegetację, u której kresu jest ostateczna zagłada. Olbrzymi nacisk monopoli, podatki, słaba wydajność gleby w gospodarce kapitalistycznej w ogólności, w szczególności zaś w gospodarstwach małych, opanowanie skupu i zbytu przez sieć lichwiarskiego pośrednictwa o wyraźnie monopolistycznym charakterze, kredyt na spekulanckich warunkach, to wszystko sprawiło, że w ostatnich latach na każde 1.000 gospodarstw co najmniej 300 padało pod młotkiem licytacyjnym, ponieważ nie mogły podołać długom hipotecznym, a 100 na 1.000 musiało zmieniać właściciela, ponieważ poprzedni ich posiadacze nie byli w stanie uregulować nałożonych nań wymiarów podatkowych.

W krótkim stosunkowo okresie w Stanach Zjednoczonych jeden milion ferm uległo likwidacji. Narasta olbrzymia armia koczujących bezrolnych, którzy przebiegają stany USA z południa na północ w beznadziejnym poszukiwaniu chleba. Około 70 proc. ludności wiejskiej USA nie może wypracować dostatecznego zarobku dla siebie i dla rodziny.

Engels nazwał kilkadziesiąt lat temu Francję klasycznym krajem drobnego rolnictwa. W tym klasycznym kraju drobnego rolnictwa coraz gorzej i coraz trudniej żyć podstawowym masom chłopskim na własnym kawałku ziemi. W roku 1892 Francja liczyła ogółem 5 milionów 700 tysięcy gospodarstw, w roku 1929 — niecałe 4 miliony, a w roku 1946 — już tylko i dokładnie: 3.063.000. Kiedy dziś patrzymy na strukturę wsi francuskiej, otrzymujemy taki obraz: majątki obszarnicze trzymają w swoich rękach 30 proc. ogólnej powierzchni uprawnej kraju, a małorolni i średniorolni, których jest 25 razy więcej, siedzą na 22 proc. gruntów ornych. Oto jak podmywa koncentracja kapitału w rolnictwie stan posiadania podstawowych mas chłopskich, jak likwiduje samodzielne gospodarki chłopskie i umniejsza ich powierzchnię.

Ceny towarów przemysłowych szybko wzrastają, a ceny produktów rolnych pozostają na dawnym poziomie lub wzrastają znacznie wolniej. Wskaźnik cen przemysłowych w połowie roku 1950 w porównaniu z rokiem 1938 (rok 1938=100) wynosił 2.141, podczas gdy taki sam wskaźnik dla produktów rolnych dochodził zaledwie do 1.700. Ostatnie dane wykazują: wskaźnik cen przemysłowych — 2.600, wskaźnik cen rolniczych — 1.750. Nic też dziwnego, że w magazynach fabryk francuskich pozostaje 30 proc. nie sprzedanych traktorów, że zakupy nawozów sztucznych zmalały w ostatnim półroczu o przeszło jedną trzecią, że równocześnie wzrasta zadłużenie rolnictwa, które na dzień 1 stycznia 1949 roku wynosiło 75 miliardów franków, a w dwa lata potem przekroczyło już 200 miliardów.

Z nakazu władców amerykańskich obecnej Francji rząd Plevena, tak jak poprzednie rządy zdrady narodowej, importuje mięso zza oceanu, podczas gdy rolnicy francuscy nie znajdują nabywców w kraju na swoją produkcję hodowlaną, importuje cukier z wielkich kompanii cukrowych USA, a zmniejsza uprawę buraka cukrowego na polach francuskich, sprowadza tytoń amerykański, niszcząc francuskie plantacje tytoniu, zarzuca Francję osławionym Coca-Cola, nakładając coraz dotkliwsze podatki na winnice południowo-francuskie.

Rośnie bezrobocie na wsi. Upada gospodarka małorolna i średniorolna. Z opuszczonych gospodarstw idą biedniacy po pracę do miasta której jest jej coraz mniej i która jest coraz gorzej płatna, a gdzie obok luksusowych sklepów, zawalonych zleżałym towarem amerykańskim, o krok jest nędza, gdzie panoszy się wszechwładnie amerykański „dobroczyńca", polujący z uporem niebezpiecznego maniaka na mięso armatnie.

We Włoszech jest 28 milionów hektarów ziemi uprawnej. Z tego w rękach państwa znajduje się 17 proc. Kościół, największy obszarnik, sprawuje swoje rządy na 500.000 hektarów, wyciągając bez skrupułów, jak najwyższe zyski z pracy robotników rolnych i rabunkowej gospodarki. Wielkie majątki i latyfundia mają 47 proc. całego areału uprawianej ziemi i należą do nielicznej garstki rodzin książęcych i obszarniczych, ongiś wiernych sprzymierzeńców Mussoliniego, dziś — sojuszników chadeka, de Gasperi'ego, zawsze wiernych kapitałowi i Watykanowi. 6 milionów hektarów, a zatem 22 proc. areału, należy do bogaczy wiejskich. Na resztę gruntów zepchnięta została drobna własność chłopska, wielomilionowa masa ludności rolniczej.

Jej stan posiadania, i tak niezmiernie nikły, stale się nadal kurczy, podmywany równocześnie przez dotkliwe, a we Włoszech bardzo jeszcze powszechne, stosunki feudalne lub semifeudalne i przez rosnący równocześnie nacisk kapitalistycznego prawa koncentracji. Obok 800 tysięcy gospodarstw średnich, których los jest równie silnie zagrożony przez kapitalizm jak gospodarstw biedniackich, 1 milion 700 tysięcy zagród liczy sobie przeciętną powierzchnię uprawną nie większą od 0,6 hektara. Obok tej wielomilionowej masy na wsi włoskiej blisko 3 miliony ludności bezrolnej.

Tysiące hektarów leży w latyfundiach odłogiem, a tymczasem miliony chłopów nie mają kawałka nawet ziemi pod uprawę, nie mają z czego żyć. 82 proc. ludności wsi nie dojada. Ponad 3 miliony 500 tysięcy ludzi jest zarejestrowanych w gminnych komitetach dla biednych. Robotnicy rolni pracują zaledwie 100 dni w roku, otrzymując iście głodowe stawki.

Osławiona „pomoc" USA pogłębiła i tak już rozpaczliwą sytuację podstawowych mas chłopskich. Plan Marshalla zmusił Włochy do sprowadzania po wysokich cenach pszenicy amerykańskiej, chociaż pola włoskie mogłyby jej dosyć dać na potrzeby kraju. Sprowadza się do Włoch masowo pomarańcze z dalekiej Kalifornii, chociaż półwysep apeniński słynął zawsze z bogatych zbiorów tego owocu, stanowiącego dotąd poważną pozycję w handlu zagranicznym Włoch. Winnice upadają. Na wino nie ma zbytu, bo coraz trudniej o chleb. Z rządami reakcji i z pomocą Wall Street wrócił na półwysep głód, bezrobocie, faszyzm, militaryzm.

Z rządami Franco wrócił do Hiszpanii upadek całej gospodarki narodowej, a w tym przede wszystkim rolnictwa. W latach Republiki 5 milionów hektarów ziemi otrzymali bezrolni, a nadto 500.000 hektarów rozdzielono pomiędzy małorolnych. Bezrolni i małorolni otrzymali również inwentarz, ziarno siewne, wysokie kredyty.

Z pomocą Hitlera i Mussoliniego, Bluma i Churchilla krwawy Franco obalił republikę robotniczo-chłopską. Odebrał chłopom ziemię, nagradzając nią reakcyjny kler, grandów i innych swoich wspólników w rozboju na żywym ciele narodu. Dziś w tym kraju jest 3 miliony 700 tysięcy bezrolnych chłopów. Jedynie 560 tysięcy znajduje zatrudnienie w warunkach czysto feudalnego wyzysku. 75 proc. ziemi hiszpańskiej należy do 150.000 obszarników. Z tego 75 grandów włada obszarem 1 miliona 125 tysięcy hektarów. Ziemia i chleb dla podstawowych mas chłopskich frankistowskiej Hiszpanii jest niedostępnym niemal luksusem. Brakuje chleba robotnikom. W roku 1945 wydawano na kartki 350 gramów chleba, w roku 1947 — 250 gramów, w dwa lata — 150, dziś niewiele ponad 100. Oto barometr głodu i nędzy ludu hiszpańskiego pod władztwem faszyzmu, łańcuchowego psa imperializmu.

Oto obraz tragicznej sytuacji chłopów pracujących w ustroju kapitalistycznym.

Tadeusz Orlewicz



Prasa regionalna

OBRACHUNEK ROKU

Dożynki u nas w Polsce Ludowej mają dwojaki sens, którego nigdy przedtem nie posiadały. Jest to nie tylko zabawa ludu, radującego się zebranym plonem, lecz także obrachunek gospodarski.

Zdaje się, że na etapie obecnego roku było zarówno czym się cieszyć jak i co rachować. Była to szczególna okazja do przeglądu naszych osiągnięć i braków. Jak tą okazję wykorzystała nasza PRASA PROWINCJONALNA?

Prasa prowincjonalna miała tu szczególnie ułatwione zadanie. Przemówienie prezydenta Bieruta na dożynkach, artykuł Romana Zambrowskiego o rozwoju rolnictwa w Polsce wskazywały jasno na problemy i zadania obecnego etapu w rozwoju naszej wsi.

Uczestnicy dożynek — przodujący, najofiarniejsi, najgospodarniejsi chłopi dostarczyć mogli materiału bardziej wyczerpującego i skoncentrowanego na konkretnych problemach niż najlepiej zorganizowana sieć korespondentów. Największe możliwości pod tym względem zapewniły dożynki centralne, gdyż tu mieliśmy materiał porównawczy, na tle którego osiągnięcia i niedociągnięcia jakiegoś województwa zarysowały się szczególnie wyraźnie.

Postawione przed chłopami polskimi zadanie na najbliższy rok gospodarczy — zwiększyć wydajność ziarna z 1 ha o 1 q; zadania w dziedzinie kontraktacji, dalszy zdrowy rozwój form gospodarki spółdzielczej na wsi, a w szczególności spółdzielczości produkcyjnej — wszystko to sprawiło, że taki przegląd z okazji dożynek sugerowała sama rzeczywistość i aktualna sytuacja gospodarcza.

Otóż należy krytycznie stwierdzić, że nasza prasa prowincjonalna nie potrafiła jeszcze w pełni wykorzystać dziennikarsko tych możliwości, które dawały tegoroczne dożynki.

Powiedzmy od razu o co nam chodzi. Otóż chodzi nam o brak na łamach gazet ROZMÓW Z CHŁOPAMI i rozmów chłopów między sobą. A takie właśnie rozmowy byłyby jedną z najcenniejszych zdobyczy, jaką gazeta mogła wynieść z centralnych, ogólnopolskich dożynek. Zwróćmy uwagę kto był na dożynkach. Byli tam przecież obok chłopów biorących udział w części imprezowej obchodu, zespołów artystycznych, wokalnych, muzycznych, tanecznych, obok zespołów sportowych — DELEGACI PRZODUJĄCYCH CHŁOPÓW. Cała impreza stanowiła oprawę artystyczną, dla nich przede wszystkim, dla tych świadomych, najlepszych z gospodarzy Polski Ludowej.

Przemyślany, problemowy wywiad z takim chłopem, ukazujący doświadczenia jego zespołu, jego wsi, ukazujący dlaczego i w jaki sposób stał się on przodownikiem, ukazujący jego drogę na centralne dożynki w Poznaniu w roku 1951 — drogę z zacofanej wsi 1945 r. — drogę 6-letnią, pełną trudu ale coraz szybszą za drogowskazami Partii, po mostach przerzucanych przez władzę ludową nad ciemnotą, nad bezwładem, nad nędzą starej wsi.

Następnie brakowało naszej prasie artykułów, które na podstawie tej właśnie wymiany doświadczeń i podsumowania konkretnych osiągnięć i braków w konkretnych warunkach terenowych wyciągałyby bardziej ogólne wnioski, omawiając krytycznie ubiegły rok gospodarczo-polityczny na wsi w swoim województwie.

Ogólnie biorąc prasa nasza, idąc naogół po najmniejszej linii oporu, zbyt jednostronnie nastawiła się na stronę emocjonalno - widowiskową dożynek centralnych, zaniedbując ich stronę poznawczo - problemową, gospodarczo - polityczną.

Najlepiej jeszcze stosunkowo wywiązała się z tych zadań Gazeta Poznańska, być może z racji tegorocznej funkcji Poznania, jako gospodarza centralnych dożynek.

Niezależnie od informacji typu organizacyjnego jakie ukazywały się od szeregu dni poprzedzających dożynki, na czołowej stronie pisma pojawiła się stała rubryka dożynkowa. Odbywała się tutaj niejako wstępna defilada — przedstawianie czytelnikom gości mających wystąpić na dożynkach.

Dowodem, że „Gazeta Poznańska" pojęła dobrze znaczenie dożynek, jako uroczystości mobilizującej masy chłopskie do czynu produkcyjnego, jako jedynej w swoim rodzaju „centralnej" okazji do zastanowienia się nad zagadnieniami gospodarczymi i politycznymi na żywym materiale terenowym — były artykuły typu „Poznamy ich na Centralnych Dożynkach", gdzie zamieszczono rozmowy z przodującymi chłopami poznańskimi i kreślono ich sylwetki. Niestety sposób zredagowania tych wywiadów wskazywał na zbagatelizowanie i spłycenie zagadnienia.

Ogólne, schematyczne pytanie reportera i taka sama banalna odpowiedź. Cytujemy:

„To przecież wcale nie jest tak trudno uzyskać taki plon — odpowiada ob. Maćkowiak na nasze pytanie. — Trzeba wcześnie posiać potem pielęgnować, szczególnie strzec przed słodyszkiem rzepakowym".

Zapytujemy z kolei, komu przysłuży się tak nieciekawie przeprowadzona rozmowa, z której niczego poza powszechnie znanymi truizmami się nie dowiedzieliśmy.

Nie chodzi tu oczywiście o fachową poradę w sprawie uprawy rzepaku, jaką Maćkowiak mógłby udzielić. Oczekiwaliśmy natomiast, że reporter zapyta się o pewne fakty z życia Maćkowiaka. Kim był przed wojną, jak wtedy przedstawiała się dochodowość jego gospodarki, jak było ze zbytem produktów rolnych, dlaczego wtedy nie siał rzepaku, dlaczego teraz sieje, a przede wszystkim czy rozumie na czym polegają istotne przemiany jego życia i gospodarki w Polsce Ludowej, komu i dlaczego zawdzięcza „koniunkturę" i czy rozumie, że to nie jest koniunktura typu kapitalistycznego „wyżu", typu przejściowego, po której siłą konieczności nastąpi jeszcze większy upadek — lecz stale i trwale podnoszący się dobrobyt, mający swe źródło nie w grze cen rynkowych lecz w podstawach naszego ustroju?

Doświadczenia terenowe uczą nas, że chłopi, korzystając z dobrodziejstw władzy ludowej, na której według sprawdzających się i u nas słów Lenina: „pierwsi zyskali, najwięcej zyskali, od razu zyskali" — nie zawsze zdają sobie z tego sprawę, nie zawsze rozumieją, kto i dlaczego wyrwał ich z kapitalistycznego cyklu niedostatku, nędzy i klęsk gospodarczych, że często jeszcze widzą w swym dobrobycie proces „samoczynny", że nie umieją go powiązać, zobaczyć jako uzależniony od przemian ustrojowych.

W powszechnym zrozumieniu przez najszersze masy chłopskie istotnych przyczyn zniknięcia nędzy wsi, istotnych przyczyn dobrobytu i dalszych warunków postępu — leży podstawowy problem dzisiejszego chłopa. A problem ten wskazuje z kolei na zadania i sposoby pracy naszej prasy.

Nie chodziło przecież o nic innego jak o udokumentowanie i spopularyzowanie na tysięcznych życiowych przykładach tych prawd i tych wniosków, jakie zawierały w sobie dożynkowe słowa Prezydenta.

Niestety pokłosie dożynkowe poza artykułami informacyjnymi i ogólno politycznymi nie przyniosło ciekawszych materiałów. Sprawa dożynek urwała się, niedoprowadzona do końca.

Jedyną, ciekawą próbą zainteresowania wsi problemami kryjącymi się w tegorocznych dożynkach pozostanie zdaje się konkurs dożynkowy „Gazety Poznańskiej", polegający na umieszczeniu najtrafniejszych podpisów pod różnymi zdjęciami, ilustrującymi przemiany w życiu naszej wsi.

Autor pomysłowego konkursu utrafił w istotę sprawy. Uczy chłopa myśleć w sensie przeobrażeń, których jest świadkiem, uczestnikiem i zbyt często jeszcze niedoświadczonym użytkownikiem.

Uczą myśleć także same nagrody — nie do pomyślenia w warunkach przedwojennych. Znajdziemy tam bowiem między innymi — bezpłatne wykonanie traktorowych orek na obszarze 3 ha przez POM dla każdego nagrodzonego uczestnika.

Marcin Wielgus.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres Administracji: Warszawa, ul Wiejska nr 12, tel. 40180—90. Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7
Prenumerata i kolportaż: P P K. „Ruch", Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel. 804-20 do 25
Tel. Red. Nacz. 727-86. Tel. Redakcji 751 80 dod wewnętrzny 91, 63
REDAKCJA NIE ZAMÓWIONYCH RĘKOPISÓW NIE ZWRACA
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 3,— zł; kwartalnie 9,—; półrocznie 18,— zł; rocznie 36,— zł.
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I-6842/110 z zaznaczeniem „za tyg „Wieś".
RSW „PRASA". Warszawa, Marszałkowska 3/5 2-B-43925

Gazetka gminna

Pędzić spekulantów

Mieszkam pod Okuniewem. Zachodzi ci kiedyś do mnie do chałupy taka damulka — buzia z miejska umalowana, rączki pulchniutkie, pierścionki, podaje się za żonę robotnika. „Z pracy trudno wyżyć, człowiek dorabia dostarczając braciom chłopom towar z miasta: igły, nici, mydło, proszek do prania, materiały włókiennicze" — tak ci powiada.

A skąd towar? — pytam.

„Po pracy robotnicy dla siebie robią".

Wstrząsnęło mną to ohydne kłamstwo, na które dało się sporo chłopów nabrać. Ja od razu na milicję, i „robotnica" tego jeszcze dnia znalazła zasłużony odpoczynek w areszcie.

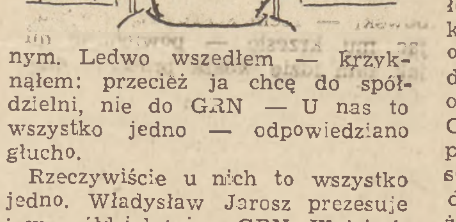
A chodzą ci spekulanci, chodzą. Czasem opędzać się trzeba. Antoni Kelczyk, średniorolny chłop uchował piękną świnię, miała ze trzy metry. Ogromny apetyt na nią mieli handlarze z Okuniewa. Jak pająki omotywali Kelczyka siecią kłamstw i pochlebstw: wojna tuż, tuż, zarekwirują wam Kelczyk to cudo — sprzedajcie. Nie dał się Kelczyk nabrać, wierzył stale, że przecież sprzeda maciorę w GS-ie. Nie mogli handlarze wejść od przodu, spróbowali utartym zwyczajem od tyłu. Przekupili małorolnego Witana, aby kupił świnię niby dla siebie na chowanie. I tym razem Kelczyk nie dał się nabrać. Przepędził spekulantów i Witana-zdrajcę, a świnię dostarczył na spęd.

Jan Zurka

Aktywni członkowie

Chłopi z Grochowic mają zamiar założyć spółdzielnię produkcyjną. Wysłali mnie tedy w teren, abym zobaczył jak pracują kolektywy i sprawę na zebraniu gromadzkim przedstawił.

Wola gromady — rzecz święta, pojechałem do Dobryszyc, leżących w powiecie radomszczańskim. Biuro spółdzielni mieści w jednym lokalu wraz z Komitetem Gminnym.



Ledwo wszedłem — krzyknąłem: przecież ja chcę do spółdzielni, nie do GRN — U nas to wszystko jedno — odpowiedziano głucho.

Rzeczywiście u nich to wszystko jedno. Władysław Jarosz prezesuje i w spółdzielni i w GRN, Wojciech Wściubiak pisze akta dla spółdzielni i dla GRN, członek Bolesław Karkoszka urzędniczy w milicji, członek Władysława Sawicka oddaje się bez reszty pracy społecznej w „Służbie Polsce". I tak dalej.

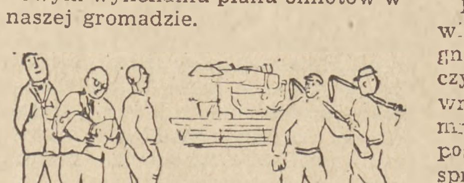
Wszystko to bardzo pięknie... ale kto u was u diabła pracuje na polu spółdzielczym? Niebieskie ptaki i kułackie kury? Grochowiczanie, ostrzegam was przed taką spółdzielnią! Sam jadę dalej. Czekajcie listu.

Stefan Wład

Mechanik — biurokrata

Różnych biurokratów widziałem— ale wszędzie biurokratą okazywał się urzędnik.

Tymczasem u nas pojawił się ostatnio nieznany nigdy przedtem biurokrata - mechanik. Jemu to zawdzięczamy, że nie możemy napisać obiecanego artykułu o przedterminowym wykonaniu planu omłotów w naszej gromadzie.



Podpisaliśmy umowę z POM-em na maszynę, przyszła do Żdżar punktualnie. Niestety, w którymś snopku trafił się kamień, wpadł do młockarni i maszyna stanęła. Baliśmy się sami reperować, żeby nie popsuć jeszcze więcej, więc wysłaliśmy do POM-u po mechanika. Akuratnie tak się złożyło, że przebywał na terenie naszej gminy mechanik objazdowy, który miał coś reperować w Woli.— Zwróćcie się do niego, po drodze mu, wstąpi do was i naprawi — oświadczono nam w POM-ie.

Pan mechanik objazdowy istotnie do naszej gromady wstąpił. Maszynę obejrzał i oświadczył: Mówicie, że maszyna zepsuta? Ale ja nic o tym urzędowo nie wiem. Nie dostałem zlecenia z dyrekcji POM-u, jak otrzymam zlecenie — maszyna będzie w try miga gotowa. I tyleśmy go widzieli.

Żeby rzepak odstawić w terminie, młóciliśmy cepami. Cepy powiesiliśmy w widocznym miejscu. Przydadzą się jeszcze do jednej młócki. Może się w naszych stronach pojawi pan mechanik objazdowy...

Maciej Kobiera.

Jadą wozy ze zbożem

Jeszcze jesienny, zamglony ranek
zaspanych nie przetarł oczu.
a już gościńcem rzędy furmanek
na miejsce skupu się toczą.

Parskają konie, dzwonią obręcze
i grają skocznie tony harmonii.
U końskich pysków kwiatów naręcze
pełne jesiennej są woni.

Jadą gromadą, strzelają z biczów,
nad nimi transparent w górze.
Z żytem, jęczmieniem, złotą pszenicą
toczy się fura przy furze.

Plon z pól zebrany czarnych i żyznych
ręką stwardniałą od znoju,
jedzie do spichrzów chłopskiej Ojczyzny
z gromady Czermin i Rojów.

Nie będzie gnębić nas o chleb troska,
bochnem jak koło dostatnim,
z fabrycznym miastem dzieli się wioska —
dłonie w uścisku zwarły się bratnim

Jeszcze jesienny, zamglony ranek
nad ziemią prześwieca świtem.
Jadą gościńcem rzędy furmanek
z jęczmieniem, pszenicą i żytem.

A. F. Kirło-Nowaczyk

Kiedy Józek szedł w rekruty...

Jak przed wojną mój Józek szedł w rekruty — płaczu było co niemiara. Ano, bo pomyślcie sobie, cała gospodarka ostała się na wątłych barkach mego ś.p. męża, który już wówczas chorował i więcej przeleżał pod pierzyną, niż chodził za pługiem. O pomocy sąsiedzkiej nie było mowy, sama przecież chodziłam na odrobek do najbogatszego w Osinach gospodarza — pana Mateli. Któż więc miał obrobić nasze 4 hektary?

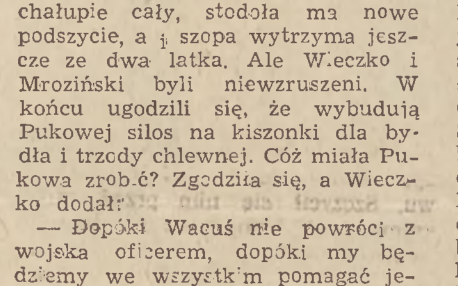
Nic nie uradziliśmy, połowa ziemi legła odłogiem, któregoś dnia zastukał do furtki sekwestrator. Zabrali nam za podatki krowę, po świnkę zgłosił się w miesiąc później ksiądz dobrodziej, który odśpiewał nad grobem mego starego „rekwije".

Tak było przed wojną, za onej sanacji! Inaczej jest dzisiaj!

Przyszedł czas na synka mojej sąsiadki Pukowej. Poszedł do wojska, na oficera, rumiany jak bułeczka, nikt nie płakał, starzy poklepywali go po plecach, młodzież odniosła kufereczek na stację. A na drugi dzień u mojej Pukowej już od rana siedział przewodniczący GRN, przybiegł sekretarz partii, pokuśtykał na swej chromej nodze sołtys Kiełbik. Nawet długo nie radzili, bo i po co ochotników do żniw, omłotów i prac jesiennych na polu matki żołnierza tylu się zgłosiło, że można było przebierać jak w ulęgałkach.

Dużo śmiechu było z Wieczki i Mrozińskiego, dla których nie starczyło już roboty, bo zgapili się i przyszli na samym końcu.

— Jakto, gardzicie naszą pomocą? — denerwował się ambitny Wieczko. — To my wam naprawimy dach...



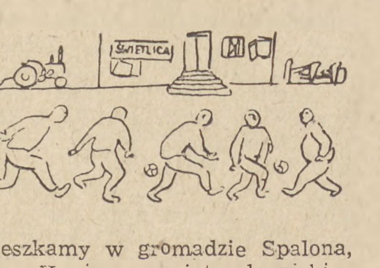
Pukowa tłomaczy, że dach na chałupie cały, stodoła ma nowe podszycie, a i szopa wytrzyma jeszcze ze dwa latka. Ale Wieczko i Mroziński byli niewzruszeni. W końcu ugodzili się, że wybudują Pukowej silos na kiszonki dla bydła i trzody chlewnej. Cóż miała Pukowa zrobić? Zgodziła się, a Wieczko dodał:

— Dopóki Wacuś nie powróci z wojska oficerem, dopóki my będziemy we wszystkim pomagać jego matce, tak jak byśmy pracowali na swoim...

Inne teraz czasy, jakowaś przemiana ku dobremu poszła!

Agnieszka Wojtasz

Widać znam się na sporcie...



Mieszkamy w gromadzie Spalona, gminy Kunice, powiatu legnickiego. Mój syn uchodzi za wybitnego sportowca i aktywistę LZS-u. Ja się tam sportem nie zachwycałem. Gdzie to kto widział, żeby młode, zdrowe i zdatne do roboty chłopaki, niczego innego nie robiły prócz kopania w piłkę i to od rana do wieczora. Powiadają, że trenują do spartakiady, ale rekordów pewno nie będzie, bo LZS ma za mało sprzętu.

Pojechał niedawno syn do Powiatowego Zarządu ZSCh w Legnicy po sprzęt, ale wrócił z niczym. Bałagan jest, biurokracja, wrogi tam siedzą — powiada. A mnie się wydało, że w powiecie postąpili słusznie. Sam bym tego sprzętu nie dał. I miałem rację.

Jadę któregoś dnia do Legnicy za interesami i rozmawiam w ZSCh na temat naszych piłkarzy. Dlaczego im sprzętu nie dali? Bo chłopaki nic nie robią. Tymczasem takie koło w Piekarach Wielkich wydaje własną gazetkę i prowadzi świetlicę gromadzką, a sportowcy z Dąbia, których nasi chłopcy nazywają ofermami naprawili 300 m drogi gromadzkiej, odmalowali świetlicę gromadzką, walczą razem z ojcami o wyższą wydajność z ha, nie oparły im się nawet... kobiety. I one zostały wciągnięte do roboty. Tak, tak, niedługo wystąpią ze sztuką w Legnicy.

Złapałem się za głowę. Słusznie dają im w nagrodę sprzęt.

Po powrocie wsiadłem na syna i jego kolegów, wygarnąłem im com słyszał w powiecie. I wyobraźcie sobie, że się nasi sportowcy przejęli. Zabrali się do remontu świetlicy, bezinteresownie pomagają przy kontraktacji na punkcie skupu a i do samego sportu podeszli poważniej. Grają rzadziej, nie szaleją, a zato regularniej i racjonalniej ćwiczą. No cóż, odegrałem w umasowieniu sportu na naszej wsi wcale poważną rolę. Widać się na tym nie najgorzej znam, żyło się przecież dobre kilkadziesiąt lat.

Bronisław Marcinek

Do pisarzy i korespondentów

Tak siejmy, aby o kwintal więcej zebrać z każdego hektara w przyszłym roku.

Hasło to podjęły miliony chłopów.

Ale czy towarzyszy im serce i pióro pisarza? Wchodzimy w pierwszy etap jesiennych siewów. Wiosną wejdziemy w drugi.

Zachęcamy pisarzy do uchwycenia wzmożonego wysiłku produkcyjnego jaki na dożynkowy apel Prezydenta Bieruta podjęli chłopi, aby w okresie, kiedy cały kraj pokrył „wielki plac budowy", kiedy nowe kombinaty przemysłowe ruszają już z nową produkcją, rolnictwo nasze posunęło się naprzód za przewodem socjalistycznego przemysłu i klasy robotniczej.

W szczególności apelujemy do pisarzy, którzy tkwią w terenie, jak Nędza-Kubiniec, Worcell, Orzeł, Skulski, apelujemy do korespondentów.

Z tych zapisów wyłoni się szeroki obraz, jaki uwidoczni nam czynniki, dzięki którym tegoroczny siew jesienny będzie nowym krokiem naprzód. Uwidoczni się planowanie gromady, organizacji spółdzielni gminnej (siewy, ziarno selekcyjne) pomoc maszynowa i sąsiedzka, kontraktacja, wiedza rolnicza, stopień świadomości klasowej i politycznej.

Uwidocznią się różnice w warunkach gospodarczych różnych stron kraju i w długości i szerokości „mostów", na jakie już weszli chłopi różnych gromad. Uwidocznią się też różnice pomiędzy zabiegliwością i produkcją indywidualną, a uspołecznioną, jak w spółdzielniach produkcyjnych i PGR-ach.

I trzeba, żeby chłopi mogli czytać te dokumenty, świadczące o spółdzielniach produkcyjnych, jako „krzewicielach przodujących metod gospodarki".

REDAKCJA

Wszystko— liceum rolnicze

W wydziale rolnym naszej Rady Powiatowej pokazano mi ucieszną korespondencję, na którą złożyły się trzy listy.

List pierwszy od prezesa koła ZSCh ze wsi Dzięgielówka:

„Na Wasze zapytanie, do jakich liceów z naszej gromady idzie w tym roku młodzież, ze smutkiem donoszę, że do liceum rolnego tylko jeden. On je co prawda nazywa „agrotechnicznym", nie tak, jak za czasów „Pszczelinka", ale, że „ager" znaczy „rola" to ja wiem. A inni to idą do szkoły Mechaniki rolnej, Zootechniki, Wodno-melioracyjnej, Rachunkowości rolnej, Budownictwa Wiejskiego i Weterynaryjnej. Szkoda, że tak mało na rolników".

List drugi z Wydziału Rolnego:

„Drogi prezesie! Nie martwcie się. Wszystkie przez Was wymienione licea, to są właśnie licea rolne. Za czasów „Pszczelinka" uczyło się na **gospodarza.** Teraz uczymy na takich specjalistów, którzy w gminie całe życie gospodarcze chłopów, dźwigną w górę i naprzód do socjalizmu".

List trzeci od prezesa:

„A no, zrozumiałem i ogłosiłem w gromadzie, że całość po nowemu to jest melioracja, uprawa, chodowla, maszyny, leczenie bydła, budownictwo wiejskie i rachunkowość tego wszystkiego.

Teraz czekamy kiedy tych siedmiu specjalistów przyjdzie do naszej gminy".

Józef Kopeć

Kułackie zaloty



Donoszę Redakcji, że mój artykulik o Lututowie narobił nielada wrzawy. Ale ostatecznie sklepy spółdzielcze funkcjonują sprawniej, poprawiło się i w GRN. Po mojej rodzinnej wsi chodzi od kilku dni takie powiedzonko: „uspokój się, bo cię pogonię jak Piskulina-Fitka" — bo, jak redakcji wiadomo, tak się nazywał handlarz, który dostał ode mnie pater noster. W ogóle, proszę redakcji, u nas teraz kobiety poszły w górę w cenie.

W gromadzie Golonki wybuchła epidemia miłości kułaków do samotnych, biedniackich wdów. Chodzą kułaki do naszych kobiet, podglądają się wzajemnie, kłócą, wyrywają sobie te wdówki. Powiadają — miłość w maju. Skąd się takiemu Serockiemu Janowi, czy Kazimierskiemu Stefanowi albo innym pod jesień zebrało? Odrazu zmiarkowałam, że chodzi tu o wykopki okopowych. Dwuhektarowa Kozielska czy Szymczakowa sama kułakowi dziś do roboty nie pójdzie. Dlatego Serocki taki słodki. Mizdrzy się, wmawia w kobiety, że chodzi tu o pomoc sąsiedzką, o obowiązek biednych chłopek wobec głównych producentów buraków i kartofli, czaruje patriotyzmem. A wszyscy kułacy zgodni są co do tego, że za „pomoc sąsiedzką" nie powinni płacić. Wdowy pomogą im w ramach czynu jesiennego.

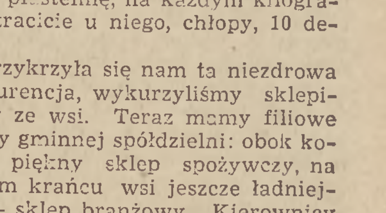
Drogie koleżanki — dajcie kosza kułackim zalotnikom, a łupnią członkom GRN za to, że pominięto was przy planowej pomocy sąsiedzkiej. Mój stary też siedzi w Radzie. Już ja wam obiecuję, że za swoje dostanie.

Aniela Piskulina.

Konkurencja czy współzawodnictwo

W Tolinie pow. brzezińskiego mieliśmy do niedawna dwóch sklepikarzy: Miętusa i Kapitona. Jak daleko sięgając pamięcią, oba przedsiębiorstwa prowadziły między sobą nigdy nie słabnącą walkę konkurencyjną.

Polegała ona na wzajemnym oczernianiu się i zdradzaniu tajemnic zawodowych. Mówił więc Miętus: „Nie kupujta, chłopy, u Kapitona, w cukrze lęgną mu się robaki — długie



na palec!" A znowu pan Kapiton nie pozostawał mu dłużny: „Miętus to oszust — mówił — pod szalkę przykleja plastelinę, na każdym kilogramie tracicie u niego, chłopy, 10 deko!"

Sprzykrzyła się nam ta niezdrowa konkurencja, wykurzyliśmy sklepikarzy ze wsi. Teraz mamy filiowe sklepy gminnej spółdzielni: obok kościoła piękny sklep spożywczy, na drugim krańcu wsi jeszcze ładniejszy — sklep branżowy. Kierownicy obu tych placówek Owczarek i Matusik, przystąpili wraz z całą obsługą do współzawodnictwa pracy. Z początku wszystko szło nadzwyczajnie. Nie znajdowaliśmy słów zachwytu. Ale po pewnym czasie okazało się, że ob. Owczarek kopie dołki pod ob. Matusikiem i na odwrót— ob. Matusik przypina cuchnące łatki ob. Owczarkowi. Każdy z nich chce uchodzić w opinii gromadzkiej za tego „lepszego".

Takiego „współzawodnictwa" nigdy się nie spodziewaliśmy. Na najbliższym zebraniu oba komitety sklepowe wygarną całą prawdę pożeranym ambicją kierownikom i nauczą ich odróżniać prawdziwe, socjalistyczne współzawodnictwo — od sklepikarskiej konkurencji Miętusa i Kapitona

Wojciech Smuła.